MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 39. WARSZAWA, 4 WRZEŚNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

OCHRONA MNIEJSZOŚCI A PRAWO MIĘDZYNARODOWE

MIĘDZYNARODOWY porządek prawny opiera się o trzy czynniki: poszanowanie odrębności państwowo-narodowych, przestrzeganie zwyczajowych norm prawa narodów, poszanowanie zobowiązań traktatowych.

Poszanowanie odrębności państwowo-narodowych symbolizowane jest przez pojęcie suwerenności państwa w stosunkach międzynarodowych. Niewątpliwie pojęcie to może być zrozumiane tylko jako pojęcie prawne, to znaczy jako niezależność od jakiejkolwiek innej organizacji państwowej, która to niezależność obraca się jednak w granicach prawem narodów zakreślonych. Niektórzy teoretycy prawa narodów przeciwstawiają też idei suwerenności państwa, ideę internacjonalizmu i wszechświatowego solidaryzmu. Równocześnie usiłuje się podnieść do godności podmiotu prawa narodów jednostki prywatne, a tem samem jednostkę dopuścić wprost do stosunków międzynarodowych i osłabić równocześnie siłę i znaczenie organizacji państwowej. Oczywiście wobec potęgi państwowej, jednostka prywatna nie może odgrywać w stosunkach międzynarodowych roli niezależnej, może ona — uznana nawet za podmiot stosunków międzynarodowych — być jedynie narzędziem polityki w rękach państw dość silnych, by przez mieszanie się do stosunków wewnętrznych państw innych, odnosić stąd korzyści polityczne.

Jak z powyższego wynika, obecny porządek międzynarodowy opiera się o zasadę suwerenności państw i wyklucza jednostkę prywatną od bezpośrednich praw i obowiązków wobec państw, innych niż państwo własne. W ten sposób p r a w a i i n t e r e s y j e d n o s t e k p r y w a t n y c h s ą w c a ł o ś c i i w y ł ą c z n i e c h r o n i o n e p r z e z p a ń s t w o w ł a s n e. Z zasadą tą obecny międzynarodowy porządek jest do tego stopnia zrośnięty, że, jak wynika z badania historji rozwoju prawa narodów, prawo to uzyskuje możność bytu i rozwoju dopiero wtedy, gdy pojawiają się obok siebie organizmy państwowe niezależne, z silnie zarysowaną odrębnością państwowo-narodową. Tak więc tradycyjne prawo narodów przekazuje troskę o dobro jednostki, tak wewnątrz państwa jak i poza jego granicami, wyłącznie państwu, którego obywatelem, czy poddanym jest dana jednostka.

W tem więc znaczeniu ochrona własnych obywateli, znajdujących się na emigracji, nie jest z punktu widzenia prawa międzynarodowego ochroną mniejszości narodowościowych i godzi się najzupełniej z zasadami tradycyjnego prawa narodów. Z chwilą jednak, gdy obywatel taki, zamieszkały za granicą państwa, zmienia obywatelstwo, traci prawo do ochrony państwa dotychczasowej przynależności, a zyskuje natomiast nowe prawa i obowiązki wobec państwa, którego obywatelstwo przyjął. Dlatego też słusznie z punktu widzenia porządku prawnego, państwa usilnie dążą do usunięcia wypadków podwójnego obywatelstwa, lub wypadków przeciwnych, braku obywatelstwa.

Tak więc normy powszechnego zwyczajowego prawa narodów nie dozwalają państwom na wzajemne mieszanie się do swych stosunków wewnętrznych, a zwłaszcza do stosunku najbardziej istotnego dla bytu państwa, to jest s t o s u n k u w ł a s n e g o o b y w a t e l a d o w ł a s n e g o p a ń s t w a. Mieszanie się takie może być więc uzasadnione jedynie specjalną normą traktatową, i stanowi niepotrzebny wyłom w podstawowej zasadzie, o którą opiera się porządek międzynarodowy, w zasadzie: p o s z a n o w a n i a o d r ę b n o ś c i p a ń s t w o w o - n a r o d o w e j. Odrębność ta wynika i opiera się o specjalne węzły, łączące obywatela z państwem, jednostkę z narodem i ideą narodowo-państwową. Prawo narodów, opierając porządek międzynarodowy o odrębności państwowo-narodowe, opiera go tem samem o te węzły, które łączą obywatela z ideą własnego państwa. Ochrona mniejszości, gwaranto-

wana traktatami międzynarodowemi, może więc odnosić się jedynie do mniejszości, które tę ideę narodowo-państwową uznają. Tylko pod warunkiem pełnej lojalności i współpracy mniejszości w stosunku do własnego państwa, ochrona przewidziana traktatami może być w stosunku do mniejszości wykonywana.

Myśl ta znalazła pełne zrozumienie i uznanie w stosunkach międzynarodowych. Tak więc już w roku 1922 Zgromadzenie Ligi Narodów stwierdziło, że:

„uznając zasadnicze prawo mniejszości do ochrony ze strony Ligi przeciwko uciskowi, podkreśla też obowiązek osób, należących do mniejszości rasowych, religijnych lub językowych, do współdziania w charakterze lojalnych współobywateli z narodami, do których należą".

Jeszcze dalej w kierunku wyżej zaznaczonym idzie dyskusja Rady Ligi Narodów w roku 1926, która rozwinęła się na podstawie sprawozdania przedstawionego Radzie przez p. Mello-Franco. Oto jak między innemi wyraża się sprawozdawca:

„Wydaje mi się oczywistem, że ci którzy ułożyli system ochrony mniejszości, nie zamierzali bynajmniej tworzyć wewnątrz pewnych państw grup mieszkańców, którzyby się uważali za stale obcy wobec ogólnej organizacji kraju. Przeciwnie, chcieli oni części ludności, zawartej w takiej grupie, zapewnić stan prawnej ochrony, któryby mógł zabezpieczyć poszanowanie nietykalności osoby pod każdym względem, i któryby mógł stopniowo przygotować drogę do stworzenia warunków potrzebnych dla ustalenia zupełnej jedności narodowej".

Wynika stąd, że traktatowo-międzynarodowy system ochrony mniejszości ma charakter z natury rzeczy wyjątkowy i czasowo ograniczony tak z punktu widzenia organizacji wewnętrznopaństwowej, jak i z punktu widzenia organizacji społeczności międzynarodowej.

Tak zwane „traktaty mniejszościowe" mają na celu przez ochronę mniejszości umożliwienie konsolidacji narodowej państwa, w miarę przeto dokonywania się w tej czy innej formie owej konsolidacji, cel i racja bytu traktatów mniejszościowych padają, niknie przedmiot ochrony, a w konsekwencji traktat. materjalnie bez znaczenia, i formalnie, w tej lub innej drodze, musi przestać obowiązywać.

Charakter wyjątkowy traktatów mniejszościowych i czasowe ograniczenie ich mocy obowiązującej wynika również i z innych powodów.

Normy traktatowe, o ile mają znaczenie dla całej społeczności międzynarodowej, wykazują tendencję stania się normami zwyczajowemi, lub traktatowemi, przyjętemi przez ogół państw, należących do tej społeczności. Jest to pewnego rodzaju tendencja generalizacji zobowiązań traktatowych, oczywiście takich, które z samej swej natury nie gasną z chwilą wykonania lub wogóle nie nadają się do generalizacji. Ta tendencja generalizacji wynika z zasadniczej prawnej równości państw, członków społeczności międzynarodowej, oraz z pewnej wspólności interesów i poglądów prawnych, jakie wykazywać musi każda społeczność.

Jak wiadomo, czyniono próby generalizacji zobowiązań mniejszościowych, tak ze strony prywatnych organizacyj międzynarodowych (stowarzyszenia dla spraw Ligi Narodów i inne) przez odpowiednie urabianie opinji publicznej, jak i ze strony oficjalnej (wniosek rządu litewskiego w sprawie generalizacji zobowiązań mniejszościowych na szóstem Zgromadzeniu Ligi). Usiłowania te zawiodły, co więcej, doprowadziły do sformułowania poglądu, wyrażonego w raporcie delegata Brazylji p. Mello-Franco (jak wyżej).

Traktatowe zobowiązania mniejszościowe nie mogą liczyć na generalizację, nie leży w interesie międzynarodowego porządku prawnego rozbijanie wewnętrznej jednolitości państw, grupy ludności, nie będące państwami, ani też poszczególne jednostki nie mogą uzyskać bezpośrednich praw w stosunku międzynarodowych, traktaty mniejszościowe przeto, ze względu na podstawową dla prawa narodów równość państw, muszą w niedalekiej przyszłości przestać obowiązywać.

Czy miałoby wyniknąć stąd jakieś szkodliwe uszczuplenie słusznych praw jednostki w stosunku do państwa, czy miałoby to pociągnąć za sobą jakąkolwiek krzywdę w stosunku do mniejszości, lojalnych wobec państwa i narodu, który jest w niem gospodarzem?

Utrzymanie traktatów mniejszościowych nie jest kwestją ochrony słusznych interesów mniejszości, interesy te lepiej i skuteczniej bronione są i będą: stosunkiem wzajemnego zaufania mniejszości do większości, wysokim poziomem kultury państw, należących do społeczności międzynarodowej, a związanych dzisiaj traktatami mniejszościowemi. Nadużywanie postanowień traktatów tych przez destrukcyjne czynniki wewnętrzne, bądź pośrednio, przez państwa zainteresowane w sztucznem tworzeniu wewnętrznych narodowościowych trudności, bynajmniej nie przyczynia się do właściwego ustalenia stosunku mniejszości do większości i mija się z celem, jakim traktaty omawiane winnyby służyć.

Jest znaną zasadą prawa narodów, że z chwilą zgaśnięcia mocy obowiązującej jakiegoś traktatu (w ten czy inny sposób), norma prawna, która zyskała powszechne uznanie i stała się w ten sposób normą ogólnie obowiązującą, nie gaśnie. Odnośna norma, istniejąca niezależnie od traktatu, traktatem tym pozytywnie stwierdzona, może mieć byt niezależny od traktatu i bynajmniej nie gasnąć z chwilą formalnego wygaśnięcia klauzul traktatowych. W ten sposób ma się rzecz z zasadą sprawiedliwości w stosunku do wszystkich obywateli państwa, o którą jakoby opiera się idea traktatów mniejszościowych. Odnośnie do tej zasady jakakolwiek generalizacja nie jest potrzebną, gdyż jest ona powszechnie uznaną i w ten sposób dostatecznie zgeneralizowaną. Zasada ta wynika z samego charakteru społeczności międzynarodowej, do której należą państwa w pełni cywilizowane. Idea traktatów mniejszościowych streszcza się w tem, że lojalny obywatel państwa niezależnie od swej etnicznej, religijnej, czy narodowościowej odrębności, może liczyć na sprawiedliwe traktowanie ze strony prawa państwa, którego jest obywatelem. Stosuek obywatela do państwa jest normowany wprawdzie ustawodawstwem pozytywnem danego państwa, opiera się jednak o pewną sumę oczywistych zasad prawnych, stanowiących dorobek wspólnej kultury prawnej, idei chrześcijańskiej i tradycji rzymskiej. Z tego punktu widzenia obojętnem jest, czy jakieś państwo podpisało lub nie takie czy inne klauzule traktatów mniejszościowych, i czy taka lub inna procedura postępowania przed Ligą została zgeneralizowana, czy też dzięki silniejszej pozycji niektórych państw przyjęta lub odrzucona. Każde państwo należące do społeczności międzynarodowej jest temi

ogólnemi zasadami kultury prawnej związane i każde nawet w granicach dzisiejszych postanowień Paktu Ligi Narodów może się narazić na krytykę swego ustosunkowania do mniejszości własnych, o ile ustosunkowanie to pozostawałoby w jaskrawej sprzeczności ze współczesną kultura prawną państw cywilizowanych.

Wynika z powyższych wywodów, że ochrona mniejszości przy pomocy specjalnych traktatów t. zw. mniejszościowych, ma charakter czasowo ograniczony celem tych traktatów, ma więc charakter prowizoryczny, i że jakakolwiek generalizacja zobowiązań mniejszościowych w formie ogólnego traktatu mniejszościowego nie jest wskazana, ani potrzebna.

ZBIGNIEW WŁADA

POLSKA I T. ZW. KRYZYS EUROPEJSKI

MYŚL polska o sprawach gospodarczych nie wyszła jeszcze poza pierwsze rozstaje dróg. Toczy się polemika gwałtowna i zasadnicza o punkty wyjścia, o metody myślenia, o podstawy i kierunek ogólny rozwoju. Ustrój własności, rola i zadania państwa, problem bogacenia się, istotne motywy pracy i dźwignie rozwoju gospodarczego, wreszcie położenie Polski w Europie i jej stosunek do tego, co przeżywa zachód i wschód kontynentu — oto zagadnienia, na których skupiona jest uwaga, dokoła których toczy się walka. Nie mają w tej walce znaczenia decydującego granice przynależności partyjnej: pod jednym znakiem toczą się jeszcze spory i nad wszystkiem góruje ambicja ukazywania i oświetlania nowych stron, nowej istoty spraw. Zwyciężą ci ludzie, którzy lepiej popatrzą rzeczywistości w oczy, śmielej i bardziej szczerze, bezwzględnie, bez ubocznych i każących motywów potrafią szukać dróg właściwego kierunku. I wreszcie ten obóz polityczny, który pierwszy ustali, uporządkuje i powiąże swoje poglądy tak, aby stały się logiczną całością.

Wśród tych zagadnień wstępnych jedno ma jeszcze wagę szczególną, zwłaszcza jeśli chodzi o świadomość kierunku narodowego, w którego publicystyce zostało ono postawione i jest w pewnym duchu rozwiązywane. Chodzi o niektóre tezy, sformułowane przy okazji rozważań na temat t. zw. kryzysu gospodarstwa europejskiego oraz cywilizacji europejskiej.

Dyskusja, jaką przeprowadzono w polskiem piśmiennictwie ostatnich lat na temat „kryzysu“, niewątpliwie posunęła naprzód rozumienie spraw gospodarczych w świecie, imponuje szerokością horyzontów, głębią ujęcia i wreszcie ambicją rozstrzygania najbardziej zawiłych problemów międzynarodowych. Dyskusja ta wszakże nie toczy się w obłokach, ani też nie dotyczy zagadnień o wartości czysto oderwanej — tezy jej są źródłem suggestji i wpływają na myślenie ogółu o sprawach gospodarczych, są czynnikiem kształtującym umysłowość, szczególnie chłonną w dzisiejszej dobie płynności i chaosu poglądów, w atmosferze podważonych kanonów i zachwianych autorytetów, wśród dążenia ogólnego, choćby naoślep, do wszelkiej nowości oraz rozbudzonych szlachetnych ambicyj tworzenia. Gdy tak jest, należy uczynić kilka zastrzeżeń na temat owej kryzysologji. Przedewszystkiem teorja o stanie cywilizacji wielkiej i licznej rodziny narodów, póki one żyją, pracują i dążą, póki nie stały się zabytkiem archeologji lub przynajmniej historji, może być niesłychanie interesująca i płodna, ale musi być ogólnikowa, pełna luk i wątpliwości, musi być i jest aktualnie bardzo sporna. Z takiego charakteru owej teorji wynika, że refleksy jej na umysłowość ogółu nie mogą się stawać czynnikiem precyzowania oraz ustalania, lecz przeciwnie pobudzania myśli i zarazem zacierania wyraźnych konturów, tembardziej, że taki problem ogólnego kryzysu z natury swej nie nadaje się do rozstrzygnięcia, jeno do niekończących się nigdy rozważań. Powtóre teorja owa nazywa się teorją katastrofy, upadku, w najlepszym razie choroby. Jeśliby nawet pogląd ten uznawać za słuszny odnośnie do którychś narodów, niech straszy tylko owe narody, chodzi o to, by cień tego pesymizmu i beznadziejności nie stawał się czynnikiem moralnego oddziaływania, podstawą jakiegoś fatalistycznego nastawienia, tak obcego zresztą młodemu ruchowi narodowemu, z istoty swej tchnącemu wiarą w przyszłość i wolą jej skutecznego kształtowania. I wreszcie, po trzecie, dla niektórych myślicieli analiza tego ogólnego stanu cywilizacji i gospodarstwa świata staje się punktem wyjścia politycznych wskazań dla polskiego gospodarstwa narodowego. Nie mógłbym twierdzić, że znajomość spraw światowych i zagranicznych jest niepotrzebna albo obojętna dla polityki własnego narodu, lecz sądzę, że byłoby niebezpieczną i ryzykowną dedukcją czynić jedyną albo choćby tylko główną podstawę rozumowania o Polsce z teorji ogólnej kryzysu światowego, nawet szczególnie suggestywnej i przekonywającej. Zasadniczym punktem wyjścia rozważań winien być nieskończenie pewniejszy grunt konkretnego położenia Polski — gospodarstwo Europy i świata po tem.

Już pierwszy rzut oka od strony Polski narusza jednolitość teorji o kryzysie europejskim. Mówi owa teorja o kończącym się „złotym wieku“ Europy z tej przyczyny, iż wysychają źródła wzrostu bogactwa. System gospodarczy, stworzony przez zachodnie narody kontynentu kilka stuleci temu, a zwany merkantylizmem, polega bowiem na tem, że główną podstawą gospodarczej siły jest nie własna ziemia ojczysta, ale handel z krajami zamorskiemi, słabszemi i politycznie podporządkowanemi. Dziś według owej teorji narody europejskie stoją przed koniecznością utraty tych głównych źródeł swego bogactwa i na tem ma polegać istota obecnych trudności gospodarczych, określanych mianem kryzysu. — Sądzę, że nawet przyjmując ową teorję, należałoby sobie zdać jasno sprawę, jaki jest stosunek Polski do owego procesu, czy w nim uczestniczy, czy i o ile jest poza nim, jak na nim wychodzi, które narody europejskie są w podobnem do nas położeniu? Nie jest celem niniejszych rozważań wstępnych i ogólnych dać szczegółową odpowiedź na te pytania, ale chciałbym wskazać na rozpowszechniony dosyć w artykułach, przemówieniach i rozmowach błąd ryczałtowego traktowania wszystkich narodów europejskich, jakby sytuacja ich była pod tym względem wspólna i jednakowa, pakowania Polski do jednego worka „skazanych na

zagładę" narodów europejskich, utuczonych niegdyś na wyzysku słabych krajów. Czyż Polska uczestniczyła w wielkim procesie bogacenia się dzięki handlowi z zamorskiemi kolonjami? Wszak w okresie merkantylizmu zachodniego nie wyzyskała nawet swego wąskiego brzegu morskiego, nie zespoliła ze sobą całkowicie Gdańska; wszak nietylko nie posiada ona źródeł bogacenia się poza granicami swoich ziem, ale inni dzierżą założone w jej własnym kraju pompy ssące polskie bogactwa i wywożące je zagranicę w postaci obcych kapitałów, żerujących u nas, wcale podobnie do tego jak czynią to w kolonjach; wszak Polska nietylko nie przesunęła głównej podstawy swego gospodarstwa poza własny obszar, ale tego obszaru nie wyzyskała w całej pełni — działalność polska na własnych ziemiach ma jeszcze rozległe perspektywy ulepszeń, tworzenia warsztatów pracy, organizacji i techniki, mnożenia bogactw i wypierania obcych kapitałów. Czy jest więc słuszne fundowanie teoretycznych podstaw dla naszej polityki z rozważań nad zjawiskami, które nie dotyczą Polski bezpośrednio? Czy nie jest szkodliwe zaszczepianie podstawom naszego rozumowania przesłanek pesymizmu oraz idei upadku, które nietylko byłyby źródłem osłabienia, ale nie posiadają uzasadnienia w polskiej rzeczywistości?

Rozumowanie o położeniu ogólnem narodów europejskich indukcyjne, prowadzone od strony Polski i jej konkretnej sytuacji, odsłania pewne nowe widoki, przynosi spostrzeżenia wielce interesujące a cenne. Załamuje się stereotypowy schemat widzenia świata europejskiego w dwu tylko, przeciwstawionych sobie elementach: kapitalistycznego zachodu i komunistycznej Rosji na wschodzie, jako antytezy i rewolucji. Między jednym a drugim światem jest na naszym starym kontynencie wyraźnie rysujący się, szczególnie na płaszczyźnie życia gospodarczego, element trzeci, w postaci grupy narodów środkowych, sąsiadujących na zachodzie z niemczyzną, opartych na kulturze t. zw. zachodniej, a reprezentujących przeważnie etniczne pierwiastki słowiańskie. Spólność ich położenia zaznacza się zwłaszcza w przekroju kryterjów t. zw. kryzysu gospodarczego zachodniej Europy: niewielka siła gospodarcza tych narodów nie ma swoich podstaw nazewnątrz, nie opiera się na handlu zamorskim, na kolonjach, na wyzysku słabszych, a dążących do wyzwolenia; wartość gospodarcza własnego terytorjum niejest całkowicie wyzyskana i nawewnątrz tych krajów tkwią jeszcze duże możliwości rozwoju i wzrostu, powstawania nowych źródeł siły gospodarczej; są one w znacznym stopniu terenem ekspansji zachodniego kapitału i dzięki temu część ich bogactwa odpływa zagranicę oraz istnieje ich zależność od krajów bogatszych Europy; stopa życiowa mieszkańców utrzymuje się naogół na znacznie niższym przeciętnym poziomie; wreszcie stosunki ludnościowe w tych krajach układają się podobnie zarówno co do młodszości, oraz większej żywotności ich rasy, jak i terytorjalnych i gospodarczych możliwości wyżywienia przyrostu ludności siłami własnego obszaru, szczególnie wobec wspomnianej, niewysokiej skali potrzeb i odpornej prostoty w życiu szerokich mas. — Te wszystkie znamiona charakteryzując wyróżniająco narody środkowej Europy, pozwalają raczej łączyć interesy i perspektywy Polski z tą grupą krajów i ustalać ich zbiorową rację polityczną, tworzyć współpracę dla określonych wspólnych celów i wreszcie rzucać na bezładne formuły naszego myślenia nie złowróżbną mgławicę katastrofy, ale wprowadzać w nie jasność, konkretność celów, uzasadnioną wiarę w przyszłość i poczucie rosnącej siły.

* * *

Wszyscy godzą się na to, że poglądy gospodarcze, szerzone w opinji polskiej, są wielce chaotyczne, niepowiązane a nawet często sprzeczne, że się rzuca idee nieprzemyślane, wyzyskując nieodpowiedzialnie modę na nowinki oraz przygnębienie powszechnemi trudnościami materjalnemi. Wśród takiego stanu rzeczy pożyteczne i właściwe jest rozpraszanie wszelkich mgiełek i mgławic, nawet pięknych i ponętnych, w których chętnie tonie zmęczona i przygnębiona myśl ogółu. Służy temu celowi wiązanie zagadnień gospodarczych z ogólnemi i sprowadzanie do znacznie bardziej ustalonych idej politycznych, kierowanie dyskusyj raczej do zagadnień konkretnych i pojęć jasnych, oraz oddzielanie jej od rozważań zbyt teoretycznych, w których wodnistym werbalizmie gubi się zbyt często sens, a zostają dźwięczne frazesy. Najważniejszą jednak rzeczą jest przesunięcie środka ciężkości, jeśli chodzi o punkty wyjścia rozumowania, o założenia teoryj, o fundamenty konstruowanych programów: nie ogólne teorje kryzysu światowego, nie intelektualne zamiłowanie do form i ustrojów, ale znana, konkretna rzeczywistość polska, niewątpliwe i ustalone zadania polityki Narodu, niesporne jego dążenia i potrzeby, wiadome przymioty, cechy i wartości naszej ziemi oraz żyjącej na niej ludności muszą być punktem wyjścia, tworzyć założenia i główną podstawę programu gospodarczego.

Jedynie taką drogą budują narody wielkie systemy swojej polityki i tworzą płodne teorje ogólne.

ZDZISŁAW STAHL

KONTROFENSYWA ŻYDOWSKA

ZNAJOMOŚĆ żydowszczyzny czyni w Polsce coraz większe postępy. Dzieła takie, jak „Zmierzch Izraela" Rolickiego wyjaśniają w sposób ostateczny, że obecność $3^1/_2$ miljona żydów w Polsce nie jest tylko jakąś „kwestją żydowską" w rodzaju „kwestji białoruskiej", „kwestji włościańskiej" i innych zagadnień o charakterze społeczno-politycznym; że jest czemś więcej: świadomą polityką żydostwa, wykształconego i wyszkolonego na nieprzerwanej tradycji kilku tysięcy lat, operującą arsenałem środków często niedostępnych innym narodom, polityką, w której planach nasz kraj zajmuje określone miejsce i wyznaczoną od kilkuset lat rolę, polityką z konieczności wrogą i nie do pogodzenia z narodowemi dążeniami społeczeństwa polskiego.

Wobec tego jasną jest rzeczą, że obowiązkiem polskiej myśli narodowej jest śledzić posunięcia polityki żydowskiej, zwłaszcza w chwili, gdy naskutek kryzysu gospodarczego i politycznego zmu-

szona została do śpiesznego a tem samem bardziej otwartego działania.

Swojego czasu „Gazeta Warszawska“ podała polski tekst artykułu posła dr. Rozmaryna, zamieszczonego w prasie żargonowej. Dr. Rozmaryn pisał między innemi:

„Musi zostać przedsięwzięta przez nas — i to czemprędzej! — kontrakcja przeciwko nowej hecy obozu endeckiego (mowa o uchwałach Młodzieży Wszechpolskiej—przyp. nasz). Wierzę mocno, że istnieją liczne sfery polskiego narodu, które nie są zarażone judofobją endecką. Musimy te warstwy przyciągnąć czemprędzej i to w jakikolwiek sposób, jak tylko się uda do naszej kontrofenzywy“.

To szczere wynurzenie polityka żydowskiego ułatwiło nam śledzenie oczekiwanej kontrofensywy żydowskiej i zwrócenie szczególniejszej uwagi na „sferę przyciągania“ żydostwa oraz na elementy „przyciągane“. Rzuca to ciekawe światło na powstawanie pewnych prądów politycznych i rolę niejednej osobistości, pozornie jaknajdalszej od wszelkich podejrzeń.

Weźmy choćby głośną przez parę tygodni sprawę wileńskiej grupy młodych sanatorów. Mocno bolszewickie akcenty ich haseł oburzyły nawet tak niepoważnego polityka jak p. Cata-Mackiewicza, doniedawna opiekuna i protektora tej grupy i doprowadziły do ostrej walki na łamach prasy wileńskiej. Młodzi sanatorzy w obliczu powszechnego potępienia poczuli się nagle w pustce, poniekąd zgoła poza obrębem społeczeństwa polskiego. To wystarczyło, aby się dostać w sferę przyciągań żydostwa. I oto czytamy w „Naszym Przeglądzie“:

„Zwróciliśmy już uwagę na fakt wyodrębnienia się wileńskiej grupy młodych piłsudczyków, która niewątpliwie odegra dominującą rolę w życiu politycznem jutrzejszej Polski.

Naczelny publicysta tej grupy jest duchowym spadkobiercą Stanisława Brzozowskiego. Czytając artykuły p. Henryka Dembińskiego mamy wrażenia, żeśmy się raptem cofnęli do owych dawnych, czarujących rozmów u Michalika, u Drobnera, na plantach podwawelskich“.

Powodem tych pochwał jest wyśmiewanie przez Dembińskiego endeckich „blagierów mieszczańskich, zasmarowujących powagę sytuacji komunałami o narodzie i antysemickich fidrygałach“..,

A oto cytata z artykułu innego członka tej grupy:

„Endecka ideologja czarnosecinna ma na celu wytworzenie zwalczających się obozów narodowościowych, ma zatrzeć rozwarstwienie (-(!)-) klasowe wewnątrz inteligencji i przeszkodzić solidarności klasowej między inteligencją pracującą a proletarjatem fabrycznym“.

I „Nasz Przegląd“ dodaje:

„Tak pisze nie broń Boże żaden marksista, ani mason, lecz przedstawiciel młodzieży katolickiej (-(podkreślenie „Naszego Przeglądu“)-), zorganizowanej w akademickim związku, do którego nie mają i mieć nie mogą dostępu nietylko Żydzi, lecz nawet „rdzenni“ socjaliści“ [1]).

Przytoczyliśmy obszerne ustępy z „Naszego Przeglądu“ nie ze względu na młodych sanatorów wileńskich, którzy nie posiadają większego znaczenia, lecz aby wskazać na taktykę żydowską, która do „kontrofensywy“ pragnie przyciągnąć zwłaszcza elementy o zewnętrznem obliczu katolickiem. Taktyka ta występuje i w Niemczech, gdzie żydzi w ostatnich wyborach do *Reichstag*'u rzucili swe głosy na centrum. Że postępowania tego nie powoduje sympatja dla Kościoła katolickiego, zbyteczne dodawać.

Potwierdzeniem słuszności naszego stanowiska jest podane w nr. 120 „*Hajnt*'a“ sprawozdanie z wiecu żydowskiego w Tow. Hygjenicznem w Warszawie. Wiec ten, zorganizowany przez szereg ugrupowań i stronnictw żydowskich, zwrócony był przeciwko uchwale sejmu pruskiego, wywłaszczającej żydów wschodnich oraz przeciwko wszelkim antysemityzmom, nie wyłączając polskiego.

Na wiecu tem obecne były polskie sfery urzędowe: sekretarz Rady Ministrów p. Święcicki, przedstawiciel M. S. Z. p. Galewski, M. S. Wewn. p. Haftka. „Przybyli również“ — dodaje „*Hajnt*“ — „przedstawiciele polskiego świata naukowego i profesorowie warszawskich wyższych uczelni, m. in. b. premjer Antoni Ponikowski, któremu zebranie zrobiło wielką owację“.

Ustęp ten jest niezmiernie charakterystyczny. Nie znamy nazwisk „przedstawicieli polskiego świata naukowego“, widocznie „*Hajnt*“ uznał je za mało ważne. Wymienienie nazwiska p. Ponikowskiego nie da się też wytłumaczyć argumentem „naukowości“... Polityczny charakter wzmianki podkreśla sam „*Hajnt*“, kładąc przy nazwisku prof. P. tytuł „były premjer“.

Fakty te podajemy znowuż nie ze względu na osobę b. min. oświaty Rady Regencyjnej, lecz z uwagi na plany i metody polityki żydowskiej. Owo „przyciąganie czemprędzej i za wszelką cenę do kontrofensywy“, kogo się da, jest wywołane obawą, że nie da się utrzymać na dłuższą metę obecnych rządów tak, jak się w Niemczech nie udało utrzymać rządów koalicji wejmarskiej. Politycy żydowscy lubią mieć zawsze w zapasie szereg warjantów obok głównego planu. Prof. Ponikowski jest, być może, jednym z takich warjantów. Był już ongiś ministrem oświaty i był premjerem. Dodajmy nawiasem, że pamiętnem posunięciem jego ówczesnego premjerostwa było przeforsowanie w sejmie oderwania Lidy z okręgiem od Polski i przyłączenie do Litwy Środkowej (obszaru „plebiscytowego“), gdzie żydzi spodziewali się mieć wielkie wpływy. Jest zresztą nieposzlakowanie antysanacyjny od czasu nagłego a dość tajemniczego starcia z Belwederem w r. 1922 [2]). Jest Chrześcijańskim Demokratą, przez co zyskuje dobre stosunki z duchowieństwem. Jest profesorem wyższej uczelni, a więc należy do elity umysłowej. Prof. Ponikowski należy tedy do sfery ludzi, których się określa mianem „*ministeriables*“.

Oczywiście nie jest on jedyny. Ludzi mało zaangażowanych w drażliwe sprawy, bezstronnych i bezpartyjnych, bez uprzedzeń i nienawiści, kulturalnych, niezależnych, ludzi o wyższym typie umysłowym i silnej ręce — jednem słowem *ministeriables* — jest w Polsce sporo. Należy do nich i b. premjer Bartel, i gen. Sikorski, i b. min. Michalski, i min. Patek, i b. min. Kwiatkowski. Należy do nich również gen. Sosnkowski, który niedawno — rzecz w polityce nie bez znaczenia — ochrzcił swoich dwóch synków. Ojcem chrzestnym jednego był marsz. Piłsudski, drugiego — gen. Friedman-Krzemiński.

---

[1]) Mowa tu o Stow. Kat. Mł. Ak. „Odrodzeniu“, organizacji, która dotychczas należy do „Akcji Katolickiej“, a której członkiem, czy nawet przezesem jest Dembiński. O sprawie tej „Myśl Narodowa“ pisała już w „Głosach“.

[2]) Nie przeszkadza mu to być czynnym senjorem sanacyjnego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

Nazwiska „ministerjalne“ pojawiają się od czasu do czasu na tle różnych kombinacyj politycznych lub względnie, niedalekie od rzeczywistości jest przypuszczenie, że zaczną się pojawiać. Byłoby rzeczą interesującą wyświetlić, które z nich należą do sfer „przyciąganych do kontrofensywy“ żydowskiej. Charakterystyczna dla prasy żydowskiej i półżydowskiej metoda reklamy osób pożądanych w celu wyrobienia im popularności ułatwi zapewne nasze zadanie w tej mierze.

JAN MOSDORF

Z DZIEJÓW POMORZA

(Dokończenie)

RÓWNOCZEŚNIE z wiadomościami o niszczeniu lasów, mianowicie w listopadzie r. 1770, pojawia się pierwsza wzmianka o sprzedawania soli pruskiej, ze szkodą skarbu polskiego, na ziemiach, odciętych kordonem sanitarnym od reszty państwa polskiego. Na zażalenie króla i rządu polskiego Fryderyk II odpowiedział, że z powodu niebezpieczeństwa zawleczenia zarazy do Prus nie może pozwolić na sprowadzanie soli z Polski.[1]) W czerwcu zaś roku następnego, 1771, pojawiają się pierwsze wieści o zalewie Polski sfałszowaną przez Prusaków monetą polską.[2])

A więc był to drugi nawrót oszukańczych poczynań Fryderyka w zakresie fałszerstwa monety polskiej; druga próba podjęta z niemniejszem powodzeniem niż pierwsza w czasie wojny siedmioletniej. Na notę polską w tym przedmiocie kazał Fryderyk odpowiedzieć, że sam tę sprawę zbada.[3]) A gdy mu w dwa miesiące później Benoît przesłał dalsze skargi z tego samego powodu, zakazał mu wręcz niepokoić go podobnemi błahostkami, na które nie warto nawet odpowiadać.[4])

Wreszcie w grudniu r. 1770 Fryderyk II wydał rozporządzenie, które się dało jaknajdotkliwiej we znaki najszerszym warstwom ludności, doprowadzając ją w krótkim czasie do ostatecznej nędzy. Był to nakaz, aby ziemie polskie, bronione przeciwko konfederatom i zarazie przez pruski wojskowy kordon sanitarny, dostarczały temuż bezpłatnie i dobrowolnie żywności i kaszy.[5]) Niebawem, gdy ludność nie chciała dobrowolnie wśród zimy wyzbywać się swoich zasobów, Fryderyk II kazał brać wszystko przemocą.[6]) W ten sam sposób polecił brać zboże, przeznaczone już nie dla kordonu, lecz dla ludności w innych prowincjach pruskich. Za dostawy tego rodzaju kazał wprawdzie płacić,[7]) lecz wiadomo już, jaką monetą, a nadto ceny kazał tak wyznaczać, aby się opłacał daleki i kosztowny transport w głąb monarchji pruskiej.[8])

Zażalenia z powodu tego systematycznego ogładzania ziem polskich na rzecz Prus mnożą się odtąd w sposób zastraszający. Rząd polski śle jedną notę protestacyjną za drugą,[9]) ślą zażalenia do Berlina biskupi: warmiński, Ignacy Krasicki, i chełmiński, Andrzej Baier, wojewodowie: chełmiński malborski,[10]) a wreszcie i pojedyncze osoby prywatne: Sułkowski,[11]) Skórzewski,[12]) Nostitz,[13]) i inni, a wreszcie i Gdańsk.[14])

Wszystko bezskutecznie, mimo, że w lutym r. 1771, Fryderyk II pisał do swoich ministrów, że, jakkolwiek w skargach polskich jest zapewne wiele przesady, jednak generałom swoim wyda ściślejsze rozkazy celem udaremnienia dalszych ekscesów.[15]) Zaś skarżącym się kazał odpowiadać, że za to wielkie dobrodziejstwo ochronienia ich od grabieży konfederatów barskich i niebezpieczeństw zarazy powinni się poczuwać sami do pewnych świadczeń na rzecz jego wojska, że los ich byłby stokroć gorszy, gdyby nadal byli narażeni na łupiestwa konfede-

---

[1]) „*Polit Corr*“. XXX 323. Fryd. II, 16 grudnia 1770 r., pisze do Departamentu Spraw Zagr. o nocie polskiej z dnia 22 listopada tegoż roku z powodu sprzedawania soli pruskiej. Tamże, na str. 324, król podaje wskazówki, jak należy na notę odpowiedzieć. W piśmie z dnia 9 października r. 1771, Stanisław August zwrócił się w tej sprawie bezpośrednio do Fryderyka, ale bezskutecznie. Król pruski kazał mu odpowiedzieć, że ma się zachować spokojnie, gdyż tylko jemu i Katarzynie zawdzięcza utrzymanie się przy tronie i ochronę przeciwko konfederatom barskim. („*Pol. Corr*“. XXXI 476; pismo Fryd. II do Finckensteina z 23 października 1771 r.).

[2]) Tamże, XXXI 246. Kanclerz W. Kor., biskup poznański Młodziejowski, wręczył stosowną notę Benoîtowi dnia 27 czerwca 1771 r. Ten przesłał ją królowi dnia 3 lipca.

[3]) Tamże, odpowiedź, dana Benoîtowi przez Fryderyka II dnia 14 lipca 1771.

[4]) Tamże, str. 358. Nowe skargi polskie z powodu fałszywej monety przesłał Benoit królowi 31 sierpnia 1771 r. Król odpowiedział: *Au reste, vous observerez de ne plus m'importuner avec des plaintes pareilles, renfermées dans les mèmoires que vous venez de m'adresser. Ce ne sont la plupart que des misères qui ne meritent pas la peine qu'on y répone*“.

[5]) „*Polit. Corr.*“ XXX 311. Fryd. II do generała kawalerji Seydlitza w Oławie, 9 grudnia 1770 r.

[6]) Tamże, str. 481. Fryd. II do tegoż generała, 27 lutego 1771 r.

[7]) „*Polit. Corr.*“ XXXI 738—739. Odpowiedź na zażalenie Krasickiego, Baiera i wojewodów: chełmińskiego i malborskiego, oraz kasztelana gdańskiego na generałów Thaddena i Bellinga.

[8]) Tamże, tom XXXII 75. Fryd. II do gen. Bellinga, 3 kwietnia 1772: „*muss Euch wegen des Roggenankaufpreises an der Weichsel zu 20 Gr. (oschen) den Scheffel, und zwar in Ducaten..., gern gestehen, wie Ich diesen Preis in Rücksicht des nachherigen weiten Transports viel zu hoch finde, als dan Ich Mich darauf einzulassen gemeinet sein könnte*“.

[9]) „*Polit. Corr.*“ XXXI 3 (3 marca 1771, Fryd. II do Benoîta); XXXI 18 (10 marca 1771, Fryd. do tegoż o bezustannych skargach Stanisława Augusta); tamże, str. 184—185, mowa o dwóch notach rządu polskiego z dnia 21 maja 1771 r.; tamże, str. 280, odpowiedź Fryderyka na depeszę Benoîta z załącznikami, t. zn. skargami rządu warszawskiego, z dnia 23 lipca 1771 r.; tamże, str. 705—706, mowa o liście Stanisława Augusta do Fryderyka z dnia 15 stycznia 1772.

[10]) „*Polit. Corr.*“ XXX 480, luty 1771; tamże, tom XXXI 738—739, luty 1772 r.

[11]) Tamże, t. XXXI 68, marzec — kwiecień 1771.

[12]) Tamże, t. XXX 378, styczeń 1771.

[13]) Tamże, str. 378; w przypisku mowa o skargach Nortitza i szambelana v. Unruh.

[14]) Tamże, t. XXXI 184—185. Gdańsk prosi „*die Einwohner zu ihrer Retung mit weiteren Fouragelieferungen fur die preussischen Truppen zu verschonen*“.

[15]) Tamże, t. XXX 480; Fryd. II do Finckensteina, dnia 26 lutego 1771 r.

rackie i na okropności zarazy.[16]) A wreszcie kazał ich pocieszać, że, skoro zaraza ustanie, cofnie swój kordon wojskowy, a wówczas owe udręki, nieodłączne od tego rodzaju zarządzeń zapobiegawczych, same ustaną.[17])

Tymczasem jednak ucisk, stworzony przez kordon sanitarny, potęgował się coraz bardziej. W kwietniu r. 1771 słyszymy już o zabieraniu ludności ostatnich zasobów, mianowicie ziarna na zasiew.[18]) W owym czasie ziemie polskie od Śląska były już tak dalece ogołocone ze wszystkiego, że król Fryderyk musiał pozwolić na prowjantowanie kordonu sanitarnego ze Śląska.[19]) W lipcu jednakże r. 1771 zgodził się na posunięcie kordonu naprzód, aby zająć nowe, niewygłodzone jeszcze obszary.[20])

W końcu r. 1771 pustoszenie ziem polskich przez pruski kordon sanitarny doszło do zenitu. W grudniu tegoż roku napisał konfederat Zaremba list do Fryderyka II w sprawie dostaw żywności i paszy. Nie otrzymał jednakże żadnej odpowiedzi, gdyż Fryderyk II nie chciał się wdawać, jak pisze, w komitywę z wrogiem Rzeczypospolitej i króla polskiego.[21])

W styczniu r. 1772 i Stanisław August postanowił poruszyć wszelkie sprężyny, aby uchronić ziemie zachodnie od ostatecznej ruiny. Wysłał mianowicie wówczas nowego posła do Berlina, starostę wschowskiego, Kwileckiego, obładowanego i wypchanego, jak się wyraził Fryderyk II, zażaleniami i skargami. Król pruski naprzód już się przygotowywał na te jeremjady i lamentacje i układał stosowną na nie odpowiedź, oczywiście odmowną.[22])

W największe jednak zakłopotanie wprawił Stanisław August rząd pruski listem, napisanym bezpośrednio do Fryderyka II. Ministrowie pruscy w głowę zachodzili, jakiemi, nieznanemi im drogami list tak kłopotliwy dla nich mógł się dostać w ręce ich króla. Piszą, że list ten porusza sprawy tak drażliwe i delikatne, że można nań odpowiedzieć chyba tylko jakiemiś wybiegami. Wreszcie zdecydowali, że najmądrzej będzie pozostawić go wogóle bez odpowiedzi.[23])

Zanim wszakże akcja dyplomatyczna Kwileckiego w Berlinie mogła wydać jakieś owoce, konfederaci zaczęli atakować kordon pruski, a mianowicie w lutym roku 1772 pod Skokami. Polacy jednakże, straciwszy 30 chłopa, musieli wkońcu pierzchnąć. Porażkę tą uważał Fryderyk za tak ważną, że kazał o niej napisać artykuł do gazety.[24])

Kwilecki, zjawiwszy się na początku marca r. 1772 w Berlinie, rozpoczął niezwłocznie swoją akcję i przeprowadził ją w sposób bardzo zręczny. Unikał jeremjad i lamentacyj, na które już naprzód Fryderyk przygotował odpowiedź. W nocie[25]) wręczonej dnia 6 marca obu ministrom spraw zagranicznych, Finckensteinowi i Hertzbergowi, nie wystąpił przeciwko dostawom samym, lecz przeciwko nadużyciom, popełnianym na szkodę króla pruskiego przez oficerów jego przy wymuszaniu owych dostaw. Wykazał, że magazynierzy pruscy ściągali z ludności o $^1/_3$ więcej zboża, niż było nakazane, i uprawiali tą nadwyżką, ściągniętą bezprawnie, ożywiony handel na własną rękę, za pośrednictwem usłużnych szachrajów żydowskich; że dostawy obliczano nie według wydajności gruntów, lecz zupełnie mechanicznie według ich obszaru; że wreszcie oficerowie pruscy bezprawnie, bez wyraźnego nakazu swojego króla wymuszali na ludności daniny w pieniądzach i w jarzynach.

To nareszcie wzruszyło sumienie króla. Bardzo ujęło go za serce to, że poseł polski nie potępiał wcale nakazywanych przez niego dostaw w zbożu, że przeciwnie, zdawał się bronić jego interesów, wykazując, iż nie wszystko co magazynierzy pruscy wymusili byli na ludności, było oddawane do magazynów pruskich, lecz służyło zbogaceniu się samych niesumiennych urzędników.

Skutek tego zręcznego zaapelowania do nieograniczonej chciwości Fryderyka był natychmiastowy. Król wysłał do Prus Królewskich swego kwatermistrza, nazwiskiem von Anhalt,[26]) aby na miejscu zbadał zarzuty, uczynione kordonowi pruskiemu przez Kwileckiego. Raporty Anhalta były tego rodzaju, że król już dnia 21 marca, a więc zaledwie w dwa tygodnie po wręczeniu noty przez Kwileckiego, kazał kordon posunąć naprzód, aby pozwolić nieco odetchnąć wyciśniętym już jak cytryna Prusom Królewskim.[27]) A w pięć dni później wyraził swoją radość, że Anhalt osadził w areszcie tych oficerów, którzy dopuścili się największych nadużyć, oraz tych żydów, którzy im przy tem pomagali.[28]) Równocześnie zgromił w sposób nadzwyczaj ostry dowódcę kordonu na Pomorzu, generała Bellinga, że dopuścił do tak niesłychanych ekscesów.[29]).

O wiele dobitniej zgromił go król w piśmie z dnia 2 kwietnia, pisząc, że z największem oburzeniem dowiedział się o bezlitosnem i całkiem bezwstydnem zachowaniu się jego oficerów przy obliczaniu żywności ludziom, tak że im nawet zboża

---

[16]) *„Polit. Corr."* XXXI 437. Fryd. II do Sułkowskiego w Rydzynie, dnia 8 października 1771 r.

[17]) Tamże, str. 280. Fryd. II do Benoîta, w odpowiedzi na jego depeszę z 23 lipca 1771 r., oraz pismo jego do tegoż, z dnia 3 marca 1771 r., tamże, str. 3.

[18]) *„Polit. Corr."* XXXI 68. Na zażalenie Sułkowskiego z Rydzyny, że kuzynowi jego zabrano zboże na zasiew przeznaczone (*„das zur Saat übrig gebliebene Getreide... mit Gewalt hinweggenommen"*), Fryderyk II dnia 5 kwietnia 1771 r. kazał odpowiedzieć: *„Das ist, um sie zu schützen, und kann nun nicht anders sein"*.

[19]) Tamże, str. 104. Fryd. II do gen. Seydlitza w Oławie, 21 kwietnia 1771 r.

[20]) Tamże, str. 226. Fryd. II do podp. von Katt, 5 lipca 1771 r.

[21]) *„Polit. Corr."* XXXI 614. Fryd. II do Finckensteina, 19 grudnia 1771, o zażaleniu Zaremby, datowanem w Śmiglu dnia 19 grudnia tegoż roku.

[22]) Tamże, str. 656. Fryd. II do Benoîta, 5 stycznia 1772 r. Na str. 760, dnia 16 lutego 1772 r., pisze do tegoż, że jest dla niego rzeczą zupełnie obojętną, czy Kwilecki stanie przed nim w ubiorze polskim, czy niemieckim (*„cela me sera, comme vous pouvez vous l'imaginer, très égal"*).

[23]) *„Polit. Corr."* XXXI 705—706. Finckenstein dnia 27 stycznia 1772 r. zwraca się do radcy gabinetowego Cöpera z prośbą o radę, jak odpowiedzieć na list Stanisława Augusta z dnia 15 stycznia 1772 r.

[24]) Tamże, str. 769. Fryderyk II do Finckensteina, 19 lutego 1772. Raport Bellinga o potyczce datowany dnia 13 lutego.

[25]) *„Polit. Corr."* XXXII 21. O nocie tej piszą obaj ministrowie do Fryderyka II dnia 10 marca 1772 r.

[26]) Tamże, str. 21 rozporządzenie króla i uwaga 2.

[27]) Tamże, str. 42. Fryd. II do Bellinga, 21 marca 1772 r.

[28]) Tamże, str. 58. Fryd. II do Anhalta, 26 marca 1772 r.

[29]) Tamże, str. 58 Fryd. II do Bellinga, 26 marca 1772 r.

na zasiew, nie mówiąc już o zbożu na chleb, nie pozostawiono.[30])

Nie mając zaś zaufania do Bellinga, że ten istotnie posłucha jego rozkazu i zaniecha nareszcie ogołacania Pomorza z żywności i brania przemocą rekruta, król odebrał mu dowództwo i oddał je generałowi von Lossow. Temu to następcy Bellinga skarżył się Fryderyk dnia 6 kwietnia 1772 r., że pod jego poprzednikiem wojska jego na Pomorzu polskiem doszły stopniowo do stanu zupełnego zdziczenia, że w tym stanie uprawiały tam gospodarkę rabunkową.[31]) A w liście do tegoż samego Lossowa z dnia 17 maja używa wręcz wyrazu: plądrowanie, nakazując mu tych oficerów, którzy się plądrowania dopuszczali, osadzać w areszcie, gdyż w armji pruskiej dłużej służyć nie powinni.[32])

Po odebraniu mu dowództwa, Belling nie zniknął jednakże z Pomorza. Król powierzył mu nadzór nad zakupem zboża, napominając go, aby poniechał ucisku biednej ludności i nie plądrował, gdyż skargi, dochodzące go z tego powodu, nie chcą się kończyć i na dłuższą metę są wręcz nieznośne.[33])

Nowe to stanowisko zawdzięczał Belling tej okoliczności, że jakkolwiek tyle faktów przemawiało przeciwko niemu, jednak potrafił swego króla nieco ułagodzić, chociaż nie powiodło mu się uratować swego stanowiska dowódcy na Pomorzu. Mianowicie, mimo że mu Fryderyk wyraźnie dnia 2 kwietnia 1772 r. zakazał brania rekruta na Pomorzu,[34]) Billing, nie troszcząc się o zakaz, raz po raz jednak posyłał mu kolekcję zwerbowanych przemocą Pomorzan. Krol, ułagodzony, za każdym razem bardzo mu łaskawie za rekrutów dziękował, zaznaczając jedynie, że wcale nie podoba mu się sposób brania tych rekrutów, że wolałby mniej rekrutów, a zato więcej karności wśród pułku, stojącego pod jego dowództwem.[35])

Ponury obraz Pomorza w chwili, kiedy przechodziło pod panowanie pruskie, kreślony przez historyków pruskich, jest zgodny z rzeczwistością. Fałszowanie przez nich historji polega jedynie na przypisaniu winy określonego wyżej stanu rzeczy — Polakom, zamiast wojskom pruskim.

Poznań ANDRZEJ WOJTKOWKI

[30]) Tamże str. 71. Fryd. II do Bellinga, 2 kwietnia, 1772 r. *„Die harte und ganz unverschämte Art, mit welcher die Officiers Eures unterhabenden Regiments gegen die Einwoler in Polnisch relussen, hueiner Euch dieserhalb erteilten ansdrücklichen Ordre zuwider, zu werke gegangen sind, so dass sie diesen armen Leuten nicht das Brod, geschweige Saatkorn, gellassen haben, erfare Ich leider je mehr und mehr mit dan äursersten Missfallen und ist Mir ein anderweiter uberzeugender Beweis, wie wenig Ihr die Offtciers in Ordunng zu halten wisset“.*

[31]) Tamże, str. 89—90: *„Der Generalmajor von Belling, welcher das Commando über Meine in Polen stehende Truppen bishero geführet, hat die Regimenter und deren Officiers dergestalt daselbst serwildern und wüvte wirtschaften lassen, dass Ich, um alles wieder in Ordnung zu setzen, Meinen Generalmajor und General quartiermeister von Anhalt dahinzuschicken genötigt gewesen bin“.*

[32]) Tamże, str. 198: *„so wollet Ihr besonders das Bellingsche Regiment, welches ganz verwildert sein soll, sehr kurz und scharf halten und alle die Plünderers, die ohneden bei der Armee nicht weiter bleiben und dienen konnen, in Arrest setzen“.*

[33]) Tamże, str. 198; Fryd. II do Bellinga, 17 maja 1772 r.: *„nur wollet Ihr auch dahin ernstlicher sehen, dass die Bedrückungen und Plündereien so von deren dazu commandirten Officiers dabei verübt werden, einmal aufhören; denn die darüber bingehenden Klagen sind unendlich und Mir in der Länge immer mehr und mehr unaussehlich.“*

[34]) Tamże, str. 71.

[35]) Tamże, str. 75. Król do Bellinga, 3 kwietnia 1772: *„Mir gefält indessen die gewalesame Art, womit Ihr auch in Ansehung der Werbung zu Werke gehet, gar nicht“. „Das, ist abscheulich, waser vor Desordres unter seinem Commando geduldet und autosiret hat“.* Za drugą przesyłkę dziękuję 13 maja 1772 (tamże, str. 194): *„Kann Each indesseg dabei nicht verheuren, wie Ich wohl wünschte, dan Ihr Mir weniger Rekruten überschicken, dagegen aber mehr Ordnung bei Euren Commando halten möchtet, maassen die Klagen die gegen Euch einlaufen anstatt sich zu vermindern, nur immer starker zu werden beginnen“.*

KSIĄŻKA POLSKA O RYSZARDZIE WAGNERZE

JEDEN z naszych młodych badaczów literatury, Stefan Kołaczkowski, pisarz utalentowany i krytyk wytrawny, wydał niedawno książkę o Ryszardzie Wagnerze. („Ryszard Wagner jako twórca i teoretyk dramatu“ 1931 r. Wydawnictwo Instytutu Literackiego. Str. 209).

Już komuś u nas — jednemu z wybitnych krytyków—książka ta wydała się niezbyt potrzebną. Jestem przeciwnego zdania. Wprawdzie dzisiaj już się nie czubią ludzie o twórcę „Parsifala“, jak to było za czasów Nietzsche'go, albo jak we Francji w początkach burzliwej karjery Wagnera, czy też później w okresie *„Revue Wagnerienne“* i t. p. Z potężnym genjuszem R. Wagnera, z jego dziełem ogromnem i olśniewającem oswajano się wszędzie powoli, oryginalne i wstrząsające jego piękno uznano — oczywiście nie bez licznych zastrzeżeń— i szczerze niem się wzruszano nawet tam, gdzie panowało przekonanie, słuszne zresztą, iż jedynie *„musica latina“* to *„musica divina“*. Słowem „sprawa Wagnera“ został dawno już zdjęta z porządku dziennego, a przynajmniej nie należy ona do palących zagadnień chwili zarówno w opinji fachowców jak i szerszego ogółu.

Pomimo takiego stanu rzeczy, książki p. Kołaczkowskiego o Wagnerze nie mogę uważać za coś zbytecznego dla nas, naprzód dla tego, że nasza literatura dotycząca jego twórczości jest nader uboga, bądź jak bądź więc wypełnia ona tu jakąś lukę, a następnie, iż praca ta może oddać usługę ogółowi naszemu, który o Wagnerze — muzyku wie niejedno, o znaczeniu natomiast jego dzieła poetyckiego nie ma należytego pojęcia.

Rzecz ta również nie jest spóźniona, na zajmowanie się bowiem wielkiemi dziełami twórczemi zawsze jest pora. Autor książki zajmuje się właśnie dziełem Wagnera przedewszystkiem jako niezwykłem zjawiskiem w dziedzinie twórczości poetyckiej.

Pod tym względem książka naszego autora przypomina poniekąd znane powszechne dzieło Edwarda Schuré'go (*„Richard Wagner, son oeuvre et son idée“*), który wprawdzie, nie tak jak p. Kołaczkowski, i strony muzycznej twórczości Wagnera nie pomija zupełnie, był wszakże jednym z pierwszych, co podnieśli wysoko jej wartość literacką. (Książka Schuré'go wydana została, przed 30-u

zgórą laty, w przekładzie polskim, staraniem niżej podpisanego.

„Ryszard Wagner“,—powiada Schuré,—„nie był wynalazcą jakiejś nowej muzyki, był jednak pierwszym muzykiem nowożytnym, który sztukę swoją oddał na usługi inwencji poetyckiej, w wysokim stopniu śmiałej i wprowadził za pomocą dramatu muzycznego szereg postaci oraz charakterów zupełnie nowych do dziedziny poezji“. (str. 290).

Osoby dramatów Wagnera umieszcza Schuré wśród najbardziej wzniosłych kreacyj poetyckich.

Z podobnego punktu widzenia ocenia twórczość Wagnera i p. Kołaczkowski, w dziejach bowiem wielkiego dramatu wogóle wyznacza mu miejsce obok Szekspira, Calderon'a, Corneille'a itp.

Autor nazywa Wagnera „najwybitniejszym tragikiem — symbolistą“, który stworzył dramat—mit zaczerpnięty ze źródeł germańskich, czyniąc z tego rodzimego wątku symbol prawd ogólnoludzkich. „Czy ból Wotana“—zapytuje autor —„nad tem, że we wszystkiem, co stworzył, widzi tylko siebie, a tego, do czego tęskni, nie ujrzy nigdy, jest mniej ogólnoludzkim lub płytszym od tego, jaki rozdziera serce Lira lub Otella? Czy „klasyczna“ tragedja miłości, „Romeo i Julja“, jest bardziej poetyczna od nieklasycznej, przerafinowanej, symbolicznej tragedji „Trystana i Izoldy“? Czy Corneille ma być mniej, na swój sposób, „sztucznym, teatralnym“ od Wagnera?“ W szeregu sumiennych i przenikliwych analiz wszystkich utworów Wagnera, poczyniając od „Latającego Holendra“ a kończąc na „Parsifalu“, ujawnia autor ogólnoludzką treść ich postaci, głębię tragedyj, przeżywanych przez nie, oraz ich konieczność psychologiczną.

Podziwiając ideową wartość i piękno symbolicznych koncepcyj Wagnera, a także niezmierne bogactwo środków, jakiemi posługuje się w sztuce swojej, autor poddaje krytyce słabe strony jego twórczości.

Książkę więc p. Kołaczkowskiego, i z tego powodu uważam za bardziej pouczającą od wspomniane godzieła Schuré'go, które w swoim czasie, wskutek żywego odczucia piękna poetyckiego utworów Wagnera, ładnego stylu i t. p. zalet, zajmowało w literaturze przedmiotu dość poczesne miejsce. W surowej ocenie „Parsifala“ przez naszego autora znajdujemy dużo trafnych myśli o ostatniem dziele Wagnera i wogóle o ostatniej fazie jego twórczości. W utworze tym sztuka Wagnera „z roli wyrazicielki życia przeistacza się w wyzwalającą od życia“, sam twórca zaś staje się kapłanem estetyzmu religijnego.

„Utwór ten“ — powiada autor — „jest jednym z najjaskrawszych przejawów hegemonji estetyzmu w kulturze, nadto teatralności w najprzykrzej formie. Dopatrywanie się w „Parsifalu“ sztuki religijnej jest najwyższem nieporozumieniem świadczącem o niezrozumieniu istoty religijności, „Parsifal“ to najczystszej wady panestetyzm, uzurpujący władzę nad wartościami wyższej o wiele hierarchji — symbolika religijna na usługach opery“.

Teraz, dla porównania, przytaczam pogląd Schuré'go: „kiedy po raz pierwszy słuchałem „Parsifala“ — było to w 1883 r., wkrótce po śmierci mistrza — miałem wrażenie, że słuchom *Requiem*, które Wagner śpiewał sobie samemu. W tym łabędzim śpiewie tego cudownego genjusza był nieskończony smutek, ale także wyzwolenie i spokój najwyższy. Czuło się tu jakby ogarniający cień grobu, przeniknięty wielkiem światłem zaświata, jakąś jasnością zmartwychwstania“. Mniej więcej tak, jak Schuré, oceniają „Parsifala“ inni specjaliści (Kuferath, Ernst), upatrując w nim jakieś „*fiat lux*“ sztuki, wznoszącej się do religji powszechnej.

Godząc się z autorem w tem, iż jest to utwór chybiony po względem religijnym, mogący w tej mierze zadowolić tych, którym zamiast religji wystarczają jakieś namiastki i parodje teozoficzne, nie mogą podzielić poglądu, że tu Wagner jest tylko kapłanem symbolów, któremi żongluje jakby dekadent — estetyk w formie „religji sztuki“. Nie posądzając Wagnera o tego rodzaju kabotynizm „wydaje mi się, tak samo jak Schuré'mu, że w istocie w dziele tem śpiewał on „*Requiem*“ sobie samemu. „*Requiem*“ człowieka, który może na schyłku swoich sił twórczych uświadomił sobie ostatecznie tragiczną winę swego życia, mianowicie agresywność swego subjektywizmu, ten przerost swego ja (na co często zwraca uwagę nasz autor w charakterystyce indywidualności Wagnera), słowem to, co zaciążyło i nad nim, i nad jego sztuką, czyniło niewolnikiem namiętności, pozwalało, podobnie jak Wotanowi, widzieć w tem, co stwarzał, tylko siebie samego, a odbierało nadzieję ujrzenia tego, ku czemu unosiła go jego tęsknota.

„Cierpię z powodu mego pragnienia„—powiada Amfortas w „Parsifalu“ —“ i cierpiąc pragnę wciąż“. Tak pragnął Wagner, dążył do wyzwolenia od zmysłowości i jednocześnie odczuwał, iż wobec natury swego „ja“, wobec konieczności wewnętrznej — wyzwolenie nastąpić nie może.

Niema bowiem wyzwolenia bez wyrzeczenia się, a czyż prawdziwy artysta może wyrzec się sztuki swojej i służby jej, ku czemu pcha go konieczność wewnętrzna—jego własnego „ja“. A było ono u Wagnera tego rodzaju, że życie zmysłów odzywało się w niem potężnie, czyniąc z niego istotę ludzką, która skłonna była zawsze raczej do zdobywania, niż do wyrzekania się.

W poczuciu więc losu swego, który zaciążył nad jego życiem, dawał Wagner w „Parsifalu“ wyraz najwyższej tęsknocie swojej, idącej w parze z beznadziejnością urzeczywistnienia jej, — i śpiewał tu sobie samemu owe „*Requiem*“, będące jakby ostatniem tchnieniem jego samowiedzy twórczej.

Mogło się tu wyrazić potężne rozczarowanie Wagnera do życia, mogła to już być sztuka „wyzwalająca“ od niego, czy jednak mamy w tem upatrywać jego „upadek“, o którym tyle się mówiło od czasu historycznego wystąpienia Nietzsche'go przeciw uwielbianemu niegdyś mistrzowi — o tem można różnie sądzić! (Sztuka odgrywała często rolę wyzwolicielki od życia — i nie miano jej tego za złe; zresztą wszystko tu zależy od tego, o jakie życie chodzi).

Pozostawiając na boku tego rodzaju wątpliwości, jakich książka omawiana budzić może niemało, wyznać jednak muszę, że chociaż nie obca mi jest, obfita w dzieła wyborne, literatura Wagnerjańska, dużo się z niej nauczyłem i sądzę, iż światli miłośnicy dzieł mistrza z Bayreuthu wiele również mogą z niej skorzystać.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

Operowanie serca polskiego. — Boy jako chirurg. — Odruchy opinji. — Czem był Mickiewicz dla Polaka, a czem ma być? — Tylko politykiem, który miał cześć dla Izraela. — Za to Polacy go zabili.

PORUSZONA w ostatnich czasach kwestja rodzaju śmierci Adama Mickiewicza musiała wywołać poruszenie w opinji. Kwestja ta składa się z dwu zagadnień: 1) czy Mickiewicz zmarł śmiercią naturalną, czy też był otruty i 2) kto go mógł otruć. Poruszenie nastąpiło głównie z tego powodu, że ekshumator Mickiewicza p. Żeleński pomówił o skrytobójstwo wybitną w dziejach emigracji postać Polaka, gen. W. Zamoyskiego (?), powołując się przytem na jakiś dokument w jednem z archiwów (Kórnik?), którego jednak nie przytacza. Wzdrygnęła się dusza polska — przeciwko treści posądzenia i sposobowi...

Prasa, o ile zdołaliśmy stwierdzić, założyła protest mniej lub więcej surowy w formie. Wystąpiły: Myśl Narodowa, Tygodnik Ilustrowany, Kurjer Warszawski, ABC, Kurjer Codzienny, żydowski Nowy Dziennik, Czas, Gazeta Warszawska, Kurjer Poznański, Lech, Express Poranny, Głos Narodu, Słowo (wileńskie), a więc pisma różnych obozów. Potępiają one formę plotki, domagają od jej autora, aby powiedział wszystko, co wie, jeśli wie i pokazał dokument rzekomy; nie wierzą, aby p. Żeleński był w stanie hypotezę udowodnić.

Protest ten ma swoje piękne strony psychologiczne i etyczne: 1) dowodzi, jak wielką wagę w duszy polskiej ma Mickiewicz, 2) dowodzi też wiary w czystość natury polskiej. P. Żeleński, będący widocznie poza tą psychologją, obraził uczucia patrjotyczne Polaka.

Naszem zdaniem zbyt duży nacisk piszący kładą na twierdzenie, że Mickiewicz nie był otruty. Gdyby była możliwość zdobycia prawdy, wyjawienie jej leżałoby w interesie rozumienia przez Polaków ich historji porozbiorowej. Pogłębiony byłby rys tragiczności tych dziejów. Mickiewicz zniewolił swoim genjuszem świat, że ten miał go za wodza narodu. W owych czasach wierzono w przywództwo duchowe.

Naszem zdaniem te relacje, jakie mamy o chorobie i śmierci Mickiewicza, nie kładą bynajmniej tamy przypuszczeniom o otruciu. Mieliby prawo zabrać głos lekarze po zbadaniu relacyj: Levy'ego, Bednarczyka, Gropplerowej, Karola Brzozowskiego, T. T. Jeża i in., wreszcie dokumentów urzędowych o zejściu i przewozie ciała.

Na te dokumenty wskazuje p. R. Brandstaetter w żydowskim „Nowym Dzienniku". On je zna, bo świeżo pisał studjum o legjonie żydowskim Mickiewicza. Wiemy o nich (akt zejścia ogłoszony był w r. 1885), ale w nich niema mowy o cholerze. Polecenia sanitarne władz francuskich tej samej treści byłyby obowiązujące przy przewozie każdych innych zwłok. P. Brandstaetter. zapowiada, że ogłosi „ wodpowiedniej chwili" relację„ jednej z najbardziej znanych postaci emigracji polskiej", relacji stwierdzającej „wprost straszliwe wyczerpanie fizyczne Mickiewicza" w tym czasie. Musimy poczekać. K. Brzozowski, który go widział parę dni przed śmiercią nic takiego „strasznego" nie zauważył, choć zanotował, że kiedy go widział po powrocie z obozu w Burgas, „na twarzy jego znać było pewne zmęczenie i jakby moralne przygnębienie".

Brzozowski widział 27 listopada na katafalku „spokojną i piękną twarz" Mickiewicza i płakał „nie mogąc ust oderwać od lodowatej ręki króla wieszczów". Ani słówkiem nie wspomina o cholerze.

Ze wszystkiego wnosić można, że słowo „cholera" przyczepione było do tej katastrofy, jako wyjaśnienie strasznych kurczów przedśmiertnych, których ludzie byli świadkami. P. Brandstaetter, posługując się ową relacją o wyczerpaniu Mickiewicza, powiada krótko: wiadomo, że przy takiem wyczerpaniu — „zwłaszcza w czasie epidemji..." Ale to właśnie najciekawsze, skąd się wzięła legenda o epidemji. Gropplerowa utrzymuje, że nie było wówczas epidemji w Konstantynopolu.

Notujemy przebieg dyskusji z obowiązku kronikarskiego. Czekamy na „dokument" p. Żeleńskiego.

— — — — — — — — — — — —

Mickiewicz władał swymi współczesnymi. Wiedziano o tem na świecie i dlatego uważano go za wodza. Dosyć przypomnieć, że za trumną jego w Konstantynopolu szli tłumnie przedstawiciele wszystkich słowian bałkańskich, co przecież nie obyło się pewno bez wskazań zgóry danych. Wiedziano, czem jest dla Polaków. A jak Polacy go kochali, przytoczę przykład Gropplerowej, na której listy powoływałem się poprzednio.

W liście z 27 września 1855 pisze:

„Wczoraj we wtorek około godziny 4 nawiedził mnie Mickiewicz, nie czekając Henryka (-(męża)-) wizyty. Jak tylko sobie trochę wypoczął, zaproponował kolegom, że ma chęć jechać do nas na wieś. Muszę Państwu Dobr. wyznać, żem się tego nigdy nie spodziewała i takie to na mnie wrażenie zrobiło widzieć tego wielkiego człowieka przed sobą, że zbladłam i drżałam ze wzruszenia, ledwie cokolwiek mówić i odpowiadać mogłam, a gdyby mnie był chciał egzaminować z czytania, pewnobym i jednej litery nie była znała. Serce mi się ścisło i płakaćbym tylko była umiała"...

O tej wizycie wspomina też Karol Brzozowski (1885):

„Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie na panią Gropplerową, którą zastaliśmy samą, wywarła ta niespodziewana wizyta. Wymowna, uprzejma, ze skończoną ogładą wyższego towarzystwa, zwyczajna przyjmować u siebie wysoki świat dyplomatyczny, — na widok wielkiego Adama tak się zmieszała, że przykuta do podłogi nie mogła zrobić kroku naprzód, ani znaleźć jednego słowa na powitanie swego gościa. Z jakąż to niezrównaną delikatnością umiał pan Adam wyprowadzić biedną rodaczkę z jej położenia, jak zręcznie i szybko dopomógł do odzyskania całej swobody. Na twarzy jego czytałem, jak ten niekłamany wyraz hołdu wzruszył go do żywego. Gdyśmy wyszli w drodze do Kaika, przystanął nagle i rzekł do mnie, a słowa jego dotąd brzmią w uchu mojem łagodnym dźwiękiem głębokiego wzruszenia:

— Więc wy do tego stopnia mnie kochacie? A cóż dacie Świętym? Ja nim nie jestem, pamiętajcie!"

Echa tej wizyty doszły mnie ustną tradycją przez ś. p. Wiktora Jarońskiego, który był siostrzeńcem Gropplerowej i rozmawiał ze staruszką o Mickiewiczu, odwiedziwszy ją w Bebek. Z trzech sióstr słynnego malarza Jana N. Głowackiego, jedna wyszła za Gropplera, druga za Feliksa Jarońskiego z Kielc. Jan Matejko był ciotecznym bratem Henryka Gropplera. Otóż zacna pani Ludwika do końca życia nie mogła sobie darować hańby, że zapomniała nawet o obowiązku gościnności i niczem nie podjęła wielkiego gościa. Nie mogła się ośmielić zaproponować mu herbaty.

To jeden z przykładów. Psychologicznie trudno sobie wyobrazić, żeby Polak (do tego szlachetny) mógł się targnąć na życie Mickiewicza. Natomiast

wróg narodu mógł w tych warunkach wymierzyć cios w samo serce Polski.

— — — — — — — — — — — —

Wspomniałem poprzednio o konieczności rozróżnienia w pojęciach Mickiewicza między Izrael a żyd. Mickiewicz troszczył się o to, aby w legjonach polskich nie było żydów i żeby żydzi tworzyli legjon własny.

To co przytoczę, powinien wziąć pod rozwagę p. Żeleński i jego uczniowie. Mickiewicz ich przewidział.

„W rozmowie z Adamem — pisze Karol Brzozowski — zagadnąłem o Heinego. Skrzywił się.

— Nie Izrael, bo to rzecz wielka, to żyd. Przed każdą pięknością klęka on (w sztuce, w życiu, w idei), podaje jej berło swoje z trzciny, a potem policzkuje, krzycząc: witaj, królu żydowski! Ale znajdą się krytycy, zobaczysz, którzy to nazwą postępem, nowością, odpowiadającą dedukacjom z nauk. At, głupstwo wieku!"

Jakież to jasnowidzące! Odbrązować, a potem trzciną: witaj królu żydowski!

— — — — — — — — — — — —

Nic dziwnego, że odkryciami p. Żeleńskiego żywo zainteresował się Francuz, p. Lucjan Roquigny, redaktor *„L'Echo de Varsovie"*. P. Żeleński, jako gorliwy tłumacz autorów francuskich XVIII wieku, zdobył dla siebie opinję wielkiego przyjaciela Francji, dla pisarza więc francuskiego może brzmieć wcale autorytatywnie sąd p. Żeleńskiego, że „Mickiewicz miał cześć dla Izraela, a nie miał żadnej sympatji do Francuzów..." P. Roquigny tedy, zaintrygowany odkryciem skrytobójstwa, popełnionego przez Polaka, zapytał p. Żeleńskiego, jakie ma na to dowody. P. Żeleński, okazało się, jest oburzony na historyków (Szpotański), domagających się od niego „dokumentu", który był przyrzekł sam okazać.

— Jakto, historycy zwracają się do dziennikarza o dokumenty? To ich obowiązkiem jest prezentować je. Oni właśnie je chowają po bibljotekach. .

Wreszcie dodaje:

— „Nie zapominajmy, że dla współczesnych Mickiewicz nie był tylko poetą. W chwili zgonu był przedewszystkiem człowiekiem politycznym — tak właśnie, jak prezydent Narutowicz..."

Za taki chwyt — gdyby to były zapasy sportowe — sędzia zdyskwalifikowałby zapaśnika. Usłyszelibyśmy energiczne gwizdnięcie. Ale mniejsza o to. P. Żeleński, jak widzimy, ma takie wyobrażenie historyczne, iż Polacy ówcześni zamordowali Mickiewicza za to, że „miał cześć dla Izraela, a nie miał żadnej sympatji dla Francuzów..." Zapomniał o jednem, że Mickiewicz miał także cześć i sympatję dla Polski, pełną wzajemności i że był sercem Polski...

ZYGMUNT WASILEWSKI

Już czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.

Dlatego do numeru niniejszego dołączamy przekazy na P. K. O. (nr. 3.105).

Upraszamy o rychłe nadesłanie prenumeraty oraz zaległości.

GŁOSY

RADOŚĆ I DUMA — jakże rzadko te właśnie dwa uczucia w czasach dzisiejszych zapanowują w naszej psychice zbiorowej! Radość pełna, nie zakłócona żadnym dysonansem, żadnym zgrzytem, radość wybuchająca w entuzjazmie tysięcznych rzesz, manifestujących żywiołowo w słoneczne, letnie popołudnie... Duma, zasłużona i pełna godności, kiedy czyta się o rozgłosie sukcesu polskiego w świecie, zwłaszcza skoro w ciągu ostatnich lat tyle razy rumienić się było trzeba i starać, by przynajmniej znajomość niektórych faktów nie przedostawała się szerzej, poza granice kraju...

Tę radość i tę dumę zawdzięcza dziś społeczeństwo polskie porucznikowi Żwirce i jego zwycięstwu w międzynarodowym konkursie lotniczym *„Challenge"*. Cóż dziwnego, że z dnia na dzień, odrazu porucznik Żwirko stał się jedną z najpopularniejszych postaci w całej Polsce? Ku niemu i jego towarzyszom zwraca się w chwili obecnej sympatja powszechna, wyrażająca się spontanicznie w płynących zewsząd gratulacjach i objawach uznania.

Bo sukces por. Żwirki nie jest wyłącznie jednostkowym tylko trjumfem sportowca. Dobre wyniki i wysokie miejsca w klasyfikacji, uzyskane przez pozostałych polskich uczestników lotu: Karpińskiego, Bajana, Gedgowda pięknie świadczą o poziomie ogólnym polskiego lotnictwa i o jego nieustannym rozwoju.

A przytem zwycięstwo por. Żwirki osiągnięte zostało na aparacie polskiego pomysłu i przez polskich konstruktorów wykonanym. Czytamy w dziennikach:

„Polski samolot R W D 6, na którym por. Żwirko odniósł wspaniały sukces w tegorocznem *„challange"*, zdobywając pierwsze miejsce, narodził się dzięki niezmordowanej pracy grona członków sekcji lotniczej koła mechaników politechniki warszawskiej. Po powstaniu na politechnice warszawskiej katedr w dziedzinie teoretyki lotniczej, grono studentów, członków sekcji lotniczej: Wędrychowski, Wigura, Drzewiecki, Prauss, Rogalski, Kocian i śp. Pułaski, przystąpili do wykonywania własnych konstrukcyj samolotowych. Początkowo były to szybowce. Później jednak przystąpiono do konstruowania płatowców... Jako rezultat wspólnej pracy inżynierów Rogalskiego, Wigury i Drzewieckiego powstaje samolot „R W D 1", rozwijający szybkość 127 klm. na godzinę, a w 1928 r. powstaje „R W D 2", który rozwija szybkość 155 klm. na godz... Samolot „R W D 6" zostaje wykończony w r. 1932".

Tak tedy pokolenie młodych, już w niepodległej Polsce wychowujące się i kształcące, na najrozmaitszych polach działalności wykazuje swoją zdolność twórczą i swą ambicję, zdobywając dla Polaków czołowe miejsca w trudnem współzawodnictwie narodów. Przed paru tygodniami byliśmy świadkami innego sukcesu polskiego w tem współzawodnictwie, gdy przedstawiciel Naczelnego Komitetu Akademickiego, p. Jan Pożaryski ponownie, na zjeździe w Rydze, jednomyślnie wybrany został prezesem Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C. I. E.), grupującej oficjalne reprezentacje młodzieży akademickiej wszystkich niemal państw Europy i Ameryki.

Z natury rzeczy, rola tego młodego pokolenia w życiu Polski musi stawać się z dnia na dzień poważniejsza i coraz szerszy zakres spraw ogarniać swoim zasięgiem. Coraz wyraźniej widać też — „świt lepszego jutra"!

„A CÓŻ ROZKŁAD BRYTYJSKIEGO IMPERJUM?“ — Z pewną niecierpliwością podnosi się teraz, po zakończeniu konferencji w Ottawie, to pytanie. Publiczność przywykła do tego, że każda z kolejnych „konferencyj imperjalnych“ posuwała naprzód proces rozluźniania węzłów formalnych, ustrojowych, łączących Anglję z dominjami. Konferencja w Ottawie była w tym cyklu pierwszą, na której spraw polityczno-ustrojowych nie omiawiano. Poświęcona była wyłącznie ułożeniu wzajemnych stosunków gospodarczych. Odniosła tu względny sukces, z natury rzeczy niezupełny. Przyniosła napozór rozczarowanie tym wszystkim obserwatorom, nawet w Anglji dość licznym, którzy z upragnieniem oczekują ostatecznego rozpadnięcia się imperjum brytyjskiego. „Jeżeli będziemy mieli szczęście“ — powiedział niedawno Bertrand Russell — „to już za dziesięć lat spadniemy na stanowisko Holandji“. Zdanie, mimo przesady, dosyć typowe dla pewnych nastrojów opinji liberalno-socjalistycznej w Anglji. O wiele gorliwiej jeszcze wygląda objawów rozpadu wielu zainteresowanych z poza imperjum. Ostatnia konferencja nie usprawiedliwiła tych oczekiwań „...jest widocznem“ — pisał w „Gazecie Warszawskiej“ (z 28 VIII) prof. Rybarski, —„że proces rozpadania się Imperjum Brytyjskiego — zdaniem wielu pisarzy nieunikniony — nie posuwa się naprzód w bardzo wyraźnem tempie“. Wzajemne stosunki gospodarcze zostały — tam, gdzie to było możliwe — zacieśnione. Chęci po temu nie brakło. Ale z punktu widzenia „państwowego“, ustrojowego, proces rozpadania się imperjum nie mógł wziąć żywszego tempa między innemi dlatego, że... posunął się już za daleko. W wielu kierunkach dalej iść już trudno, albo wręcz niemożliwe. Pod wielu względami — proces już się dokonał.

WEWNĘTRZNA SYTUACJA W IMPERJUM WYJAŚNIŁA SIĘ OGROMNIE, nie na samej konferencji wprawdzie, ale w ciągu poprzednich kilku miesięcy. Walki o „prawo secesji“, t. j. wystąpienia z „wolnego związku państw“, zowiącego się „imperjum brytyjskiem“, należą już do przeszłości. Przedtem zajmowały ogromnie uwagę teorytyków „państwowości“ brytyjskiej i roznamiętniały patrjotów dominjalnych w dyskusjach parlamentarnych, zwłaszczo w Afryce Południowej. Jeszcze przed trzema laty największe powagi prawnicze w Anglji (jak A. B. Keith), utrymywały, iż prawo secesji istotnie przysługuje— tym mianowicie dominjom, które z niego nie chcą skorzystać, inne, najbardziej zainteresowane, jak Irlandja — prawa tego nie mają. Kryzys irlandzki w tym roku okazał atoli dowodnie, że przymus militarny (takie jest dzisiaj położenie) w stosunkach wewnętrznych — ale tylko między „dominjami“ — zniknął zupełnie. Dodać należy, że w myśl uchwał konferencji imperjalnej z 1926 r. do liczby „dominjów“ należy także w pewnym, formalnym niewątpliwie, sensie również metropolja angielska. Otóż dziś ci równouprawnieni partnerzy rozrywać mogą związek „państwowy“ między sobą, jak chcą. Klęska idei „państwowej“ zupełna... Partnerzy mogą toczyć między sobą wojny celne. W przyszłej wojnie z całą pewnością aktualne stanie się pytanie, czy rozpoczęcie kroków wojennych przez Anglję pociąga za sobą porzucenie neutralności przez dominja. Już teraz w dyskusjach kwestja ta wypływa coraz częściej. Na konferencjach imperjalnych i w podobnych naradach kwestja ta niewątpliwie stawiana jest przez polityków dominjalnych w sposób, który — gdyby Anglja i tak dostatecznie pokojową nie była — bardzoby ją zniechęcał do wystąpień ryzykownych. Gdyby zaś dominja w razie konfliktu pozostały neutralne, zaciąg ochotniczy u nich nie dałby już tych wyników, co w czasie ostatniej wielkiej wojny... Czemże różni się taka sytuacja od luźnego przymierza państw w stylu Małej Ententy np? Różnice mogą wydać się nieistotne. W pewnych kierunkach, w rzeczy samej, trudno posunąć dalej rozpad państwowy imperjum brytyjskiego. Inna rzecz, że nie osłabia on Anglji tak, jakby się to mogło wydawać naturalne dla oczu „państwowców“, przyzwyczajowych jedynie do stosunków w Europie Środkowej, gdzie frazes „państwowy“ czci się niekiedy jak fetysza i więcej, niż rzecz samą. Oczywiście analogji niema. Jedna szczególna okoliczność sprzyja zachowaniu przez Anglję roli naczelniczki związku. W Europie każdy naród radby widzieć swoje usamodzielnienie się przedewszystkiem we wzmocnieniu swej siły wojskowej, jej miarą mierzy stopień i gwarancję swej niezawisłości. Zupełnie inna jest psychologja społeczeństw w dominjach. Tam chodzi o to, aby jaknajmniej się uzbroić, bo to kosztuje. Tam Anglja zachęca, nawołuje, popycha do zbrojeń, i przeważnie bezskutecznie. Dominja ze swej strony stawiają odpór, starając się, aby koszty i trud w jaknajwiększej mierze poniosła Anglja, — a ta, co dla narodów europejskich zrozumiałe zupełnie, ciężary te, egoistycznie zepchnięte na nią, dźwiga chętnie.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Echa jubileuszu Jana Kochanowskiego jeszcze nie ucichły; jeszcze wciąż się jawią publikacje, z rocznicą tą związane lub jej poświęcone. Przecie dopiero niedawno ukazały się dwie publikacje Akademji Umiejętności, będące pamiątką zjazdu („Pamiętnik“ i „Kultura Staropolska“) teraz też w książkowych wydaniach lub odbitkach wydano prace uczonych, którzy w zjeździe tym czynny lub pośredni brali udział (Borowego „Kamienne rękawiczki“ zasługują na omówienie oddzielne). Niewątpliwie też z podniet jubileuszowych wynikła rozprawka Wiktora Weintrauba p. t. „Styl Jana Kochanowskiego“, ogłoszona świeżo w redagowanych przez prof. Chrzanowskiego „Pracach historyczno-literackich“ (Nr. 39). Tytuł może dziwić. Jak to? Tyle już rozpraw napisano o Janie Kochanowskim, a nikt jeszcze nie zajął się zbadaniem stylu czarnoleskiego poety? Dziwne to może, ale prawdziwe. „Poprzedników w pracy autor nie miał żadnych“ mówi o sobie p. Weintraub; niektórzy tylko dotknęli zlekka tego tematu (prócz wyliczonych w przedmowie, może zasługiwali na uwagę: Faleński, Szujski i — Juljusz Słowacki), a nikt nie traktował go naukowo. P. Weintraub przygotował się do pracy swej nader sumiennie, zgłębiając całą nowszą literaturę polską i obcą, poświęconą zagadnieniom stylu, oraz zaczytując się z widocznem upodobaniem i skrupulatnością w dziełach poety. Ważne jest dokonane przezeń odkrycie, a raczej stwierdzenie, że Kochanowski w pismach prozaicznych był bardzo niedbały, natomiast w utworach poetyckich był artystą niebywałym — stąd przypomnieć się godzi, że wiele pracować musiał nad formą stylistyczną każdego utworu. Usterki stylistyczne są w utworach poetyckich nader rzadkie, te, które wytknął p. Weintraub, niezawsze są właściwie usterkami. Gdyby wziąć za porównanie dzieła niektórych poetów łacińskich (Horacy, Owidjusz), znalazłoby się w nich też „usterki“, które Kochanowski równie skwapliwie naśladował jak ich zalety. Tego p. Weitraub należycie nie uwydatnił. Drugą wadą pracy jego jest niewystarczająca znajomość języka staropolskiego i płynące stąd niezrozumienie pewnych zwrotów. Np. „tyć“ znaczyło tyle co „paść się“ (łać.: *pascitur)* „kompas“ oznaczył dawniej nie „busolę“(mało kto o niej słyszał w Polsce), lecz „tarczę zegaru“ (por. fraszkę„Na Ślasę“).

Wnioski ostateczne—że Kochanowski był lirykiem *par excellence*—nie są nowe; uzasadnienie ich opiera się wszakże na sporej wiązce nowych szczegółów. (J. B.)

*

Nakładem Ligi Morskiej i Rzecznej ukazała się broszura M. B. Lepeckiego p. t. „Opis stanu Espirito Santo (Brazylia)". Warszawa, 1931 r., str. 104. Nosi ona charakter informacyjny. Właściwą treść książki poprzedza zwięzła charakterystyka stosunków, panujących w całej Brazylji. Z informacyj, mogących wzbudzić zainteresowanie, warto przytoczyć, że tylko 40% mieszkańców Brazylji należy do rasy białej, reszta zaś to mulaci, metysi, murzyni i indjanie. Jeśli chodzi o imigrację polską, to wynosiła ona w latach 1919 — 1929 — 26 tys. Jeśli chodzi o informacje gospodarcze, to warto przypomnieć, że głównym artykułem eksportowym, stanowiącym ¾ całego eksportu—to kawa, a głównym artykułem importowym maszyny o wartości prawie 10 miljonów funtów szterlingów, co świadczy o tendencji uprzemysłowienia kraju. Narazie rozwinięty jest tylko przemysł bawełniany, który w r. 1927 zużył 427 tys. bel bawełny, t. zn. o 69% więcej, niż Polska.

We właściwej części broszury autor zajmuje się opisem stanu Espirito Santo, podając krótki rys historji, dość obszernie omawiając geografję (rzeczą interesującą jest fakt, że większość ludności składa się z elementu murzyńsko-mulackiego), opisując ustrój polityczno-administracyjny, szkolnictwo i prasę, stosunki gospodarcze (życie gospodarcze jest na dość niskim poziomie, opierając się głównie na produkcji kawy) oraz stosunki komunikacyjne.

Zakończeniem książki jest rozdział, poświęcony polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, które zajmuje się sprawami emigracji do stanu Espirito-Santo. W ten sposób broszura nabiera charakteru propagandy, aczkolwiek, dyskretnie prowadzonej na rzecz emigracji do Espirito-Santo. Wobec tego warto zaznaczyć, że nie przesądzając wogóle kwestji emigracji zamorskiej, należy traktować ją z dużą ostrożnością, zwłaszcza, jeśli chodzi o emigrację do krain o klimacie podzwrotnikowym. (J. P.)

*

Sto lat dobiega, jak odnaleziono pamiętniki Jana Chryzostoma Paska. Od czasu, gdy je ogłoszono, mało było książek równie popularnych w Polsce. Mickiewicz nazwał je piękną powieścią historyczną, Słowacki i Sienkiewicz rozczytywali się w nich wielokrotnie; przekładano je nawet na obce języki, że wspomnimy znakomity przekład francuski Pawła Cazina. Po wojnie mieliśmy w ciągu jednego roku aż trzy wydania tych pamiętników, w nich jedno doskonałe ś. p. Jana Czubka, niedawno zaś w „Bibljotece Polskiej" pojawiło się dobre i przystępne opracowanie szkolne. Dawniejszemi już czasy uprzystępniano młodzieży gawędy Paskowe, przerabiając je na powieść; obecnie zaś postanowił spopularyzować je wierszem wśród dziatwy znany poeta lwowski, Stanisław Maykowski. Jego „Śpiew o wydrze" (nakł. Ossolineum) ślicznie ilustrowany przez S. Matusiaka, ma wiele danych po temu, by się dziatwie podobać. Opowieść jest żywa, zamaszysta, pełna szczerego dowcipu i humoru, idącego w parze z rzewnym nieraz sentymentem. Autor idzie naogół wiernie za opowieścią Paska o wydrze, podarowanej przez tegoż królowi Sobieskiemu; czasem tylko wtrąca własne intermedja, bądź komiczne (klucznica i chłopak Pietrek), bądź liryczne. Żałować należy, że tu i owdzie sypnął zbyt obficie archaizmami i to mało używanemi, tak iż czytelnik, zwłaszcza młodociany, nie zawsze dotrzeć może do właściwego ich sensu. Niepotrzebnie też wysilił się autor na rymy rzadkie i kunsztowne, naciągając niekiedy do nich tok zdania. Wada ta, niestety, dziś zaczyna panoszyć się wśród wierszopisów. Całe szczęście, że Maykowski, wytrawny artysta, nie na samych „kunsztykach", opiera wartość swych utworów. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Une lampe sur la marche*" (*Plon édit.*) to dramat młodej dziewczyny, ale cichy nie posiadający wielkiego rozgłosu. Młoda Jacquette pędzi pozornie spokojną egzystencję w ochronce. Kieruje nią „*Chère Madame*", osoba niezmiernie pobożna i cnotliwa, ale która poza swą pracą, haftem i konfiturami zdaje się wogóle nie widzieć świata zewnętrznego. Tymczasem w Jacquette zakochuje się nauczyciel Franois i pragnie ją poślubić. „*Chère Madame*" nie zdaje sobie nawet sprawy z tej idylli. W międzyczasie wdowiec pewien, doktór Feycelle zaczyna interesować się zbyt żywo Jacquette. Prosi on nawet „*Chère Madame*", by Jacquette udzielała lekcji jego małej córeczce Miette. „*Chère Madame*" godzi się oczywiście na tę propozycję. Jacquette kocha swą małą pupilkę, ale budzi się w niej również i coraz żywsze uczucie względem ojca Kiedyż ten ostatni oświadczy się jej? Biedna Jacquette nie doczeka się tej chwili, gdyż dr. Feycelle widząc, iż uczucie Jacquette względem niego było zbyt poważne, wolał pocieszyć się z młodą służącą...

Jacquette pozostaje sama. Jaki będzie jej los? Niewiadomo. Pierwsze to jednak, i zbyt bolesne przejście wybije niezawodnie piętno na całej egzystencji młodej dziewczyny. Autor tej powieści, p. Michel Davet, który pod tym męskim pseudonimem kryje nazwisko młodej panny, zdaje się być specjalnie wrażliwym na perypetje młodych egzystencyj. To też oddał on z ogromną subtelnością i czarem cichy dramat życia Jacquette. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W KSIĄŻCE Zoli „*L'oeuvre*", opisującej czasy Edwarda Maneta, ojca impressjonizmu, jeden z bohaterów powieści mówi: „maluję to, co widzę". Cóż to jest? Czysty realizm. Impresjonizm wyrósł z realizmu. Po zerwaniu z szablonem schematów, przekazanych przez tradycję, zwrócono się do natury. Malowano to, co ona ukazywała, co się widziało. Z kolei poczęto malować to, co się chciało widzieć. Tak właśnie postępowali impresjoniści. Czujność, jaką nadali swym oczom, zwróconym na pewne zjawiska (kolorystyczne) pozwoliła im je zobaczyć. Wczesne lata twórczości Wyczółkowskiego przypadają na tą właśnie epokę. Wszedł w nią Wyczółkowski, mając już poza sobą parę pierwszorzędnych płócien, w których jeszcze jednak szkoła, ze swą tradycją historyczną (Gerson, Matejko) dominuje. Pewne szczegóły w tych obrazach, ich ujęcie i naświetlenie, pozwalają mimo to domyślać się, po jakiej linji pójdą wkrótce poszukiwania artysty. Na „portrecie dziewczynki" np. (w katalogu IPSu Nr. 80, lata 1882 — 1887) cała twarz dziecka jest w cieniu, tylko na nogi pada światło, czyniąc je tem samem centralnym punktem obrazu. Takie odwrócenie ważności (literackiej) uświęconego porządku rzeczy mogło się w swoim czasie wydawać herezją i było niewątpliwie zaczynem nowatorstwa. Zagadnienia koloru i światła wysuwają się zdecydowanie na plan pierwszy w następnych utworach.

Zwłaszcza problemat światła pasjonował przez dłuższy czas malarza. Wyrazem tej pasji stał się szereg obrazów o silnej i zdecydowanej gamie kolorystycznej, kontrastu barw ciepłych i zimnych. Tematem ich, pod względem malarskim, były efekty zachodzącego słońca, pod względem fabuły—praca ludu. Treść literacka obrazu tego rodzaju i o takiem rozwinięciu, przy jednoczesnem rozwiązywaniu zadań czysto formalnych, nie jest w ówczesnej sztuce zjawiskiem zbyt codziennem. Potem przyszła kolej na harmonje barwne bardziej ściszone i wyrafinowane, a zarazem można powiedzieć, iż artysta, zwracając się do świata widzialnego, nie ominął niczego, coby mu dawało nową sposobność do ujawnienia swej wrażliwości kolorystycznej. Wyczucie barwności polega w znacznej mierze na dobrem poczuciu walorów. Ten związek koloru z walorem sprawia zapewne, iż wielu największych kolorystów świata (np. Rembrandt) zajmowało się również i sztuką czarno-białą — grafiką. Zwraca się do niej również i Wyczółkowski, z początku pracuje na tem polu dorywczo, by wkońcu zupełnie poświęcić się litografji. Jego rysunki na kamieniu, przez znakomite stopniowanie skali natężeń walorowych, posiadają barwność daleko większą, niż niejeden na to silący się obraz olejny.

Tak mniejwięcej w bardzo krotkim zarysie przedstawia się kolejność pracy twórczej jednego z naszych najznakomitszych artystów. Zarys ten rozmyślnie zrobiliśmy krótkim, gdyż opisywać rok po roku, fakt po fakcie życie i działalność artysty jest raczej zadaniem historyka sztuki i monografisty. Zresztą zostało to już zrobione z dość dużą skrupulatnością. Zadaniem zaś krytyka — w naszem mniemaniu — jest, mając fakt, t. zn. czyn artystyczny przed oczyma, umieć nań spojrzeć z dwojakiej strony: trafić do źródeł, skąd powstał, a potem obejrzeć go od drugiego końca, od strony skutku, wpływu jaki jego istnienie może wywierać, innemi słowy wskazać na jego znaczenie. U źródła każdego dzieła sztuki kryje się wzruszenie artystyczne, jakiego autor dzieła doznał wobec tego lub innego zjawiska. Nie rozstrząsając kwestji rodzaju tych wzruszeń, zwróćmy raczej uwagę na zjawiska, które je mogą wywołać. Wyczółkowski malował niemal wszystko, z tego wniosek, że każda rzecz prawie mogła mu być pobudką do stworzenia obrazu. Krytyka zasadniczo tego nie lubi, bo to ją „peszy"; gdy artysta jest młody, to sobie radzi jako tako i powiada o nim: on jeszcze nie ustalił swojej indywidualności, jeszcze szuka i t. d. Ale w tym wypadku takie wykręty nie zdałyby się na nic. Trzeba przyjąć tezę, że Wyczółkowski w ciągle różnych literacko tematach szukał może tej samej treści malarskiej, znajdywał ją i ona go zachwycała. Istotnie, spojrzenie z perspektywy na całą jego działalność ukazuje jednolitość kośćca uczuciowego, mimo pozornych nieraz różnic jego części składowych. Mamy tu do czynienia przecież z inną organizacją psychiczną, niż u Pankiewicza np. — pomijam nawet kwestje temperamentu — dla którego zmiana wyznania wiary jest poprostu treningiem intelektualnym.

Okazując taki głód ludzi i stworzeń, przedmiotów, roślin i krajobrazu, kto inny na miejscu Wyczółkowskiego, stałby się może zaciekłym realistą, z wnikliwością mikroskopu, notującym powierzchnię, kształt i barwę rzeczy i stworów wszelakich. Lecz każda nawet martwa, rzecz żyje przez wrażenie, jakie wywiera, ono jest jej duszą i otacza ją atmosferą delikatną, a jednak istniejącą trwale. I Wyczółkowski właśnie jest malarzem nie rzeczy samych, ale ich urody, czaru jaki one roztaczają. Inaczej byłyby one może świetną ale tylko „martwą — naturą". Ci, co w malarstwie nie widzą nic poza malarstwem, chcieliby mieć w Wyczółkowskim najdoskonalszy przykład dla poparcia swej tezy. Zapominają, że tu właśnie najznakomitsze środki służę tylko dla wyrażenia jego zachwytu na widok przyrody. Ta czujność wobec wszystkich jej cudów pozwala na wnikliwość spostrzeżeń jedynych w swoim rodzaju. Pobudliwość artystyczna czyni z malarza narzędzie najczulsze, notujące objawy, których inni nie są w stanie zobaczyć. Świetność rysownicza, nieomylność dłoni, w niecierpliwem pragnieniu błyskawicznego notowania wzruszeń oczu i serca nie znosi powierzchni, w którąby trzeba było powoli wpisywać kształt utrwalany. Dlatego artysta rysuje najchętniej na gładkiej płaszczyźnie papieru, lub kamienia litograficznego, pastelem, lub kredką, które nawet w przelocie musnąwszy powierzchnię znaczą swój ślad. A werwa, z jaką to czyni, jest rdzennie polska.

WIKTOR PODOSKI

NAWIAS PODWÓJNY

W GRAFICZNYM systemie pisowni naszej istnieje pewien brak, któremu warto zaradzić. Zdarza się, mianowicie, że w zdaniu, lub okresie cudzym, przez danego pisarza przytoczonym i w cudzysłów ujętym, pisarz ów własną swoją, doraźną uwagę w nawiasie umieszcza, żeby zaś ją od cydzysłowu wyodrębnić, musi do niej dodawać słowa „przypisek mój", albo „przypisek redakcji" i t. p., co jest rzeczą bardzo niezgrabną i uciążliwą. Samego nawiasu (bez owego przypisku) pozostawiać nie można, bo wtedy w czytelniku wywołuje się wrażenie, że słowa nawiasowe należą właśnie do autora, którego się przytacza. Bywa i tak, że w okresie przez cudzysłów zamkniętym trafia się nawias autora przytaczanego, a opodal inny nawias — pisarza, który przytacza. Powstaje tedy konieczność graficznego odróżnienia obu tych nawiasów, czyli — wynalezienia nowego znaku pisarskiego dla nawiasu pisarza, który cudze słowa przytacza, a chce w ich wnętrzu swoją wtrącić uwagę.

Potrzeba jest matką wynalazków, kiedy więc raz i drugi, czytając lub pisząc, o taki kamień pisarski się potknąłem, wymyśliłem nawias podwójny, który tak wygląda: (-(słowa nawiasowe)-). Mały ten wynalazek zastosowałem w zeszycie Nr. 37 "Myśli Narodowej" w szkicu „Zagrożone witraże" na stronicy 533 pośrodku drugiego łamu, gdzie do cudzych słów wtrąciłem własne słowo objaśniające, mianowicie: (-(Witkiewicza)-). Czytelnik zechce łaskawie wziąć do rąk Nr. 37 „M. N"., aby naocznie uświadomić sobie graficzną wartość znaku projektowanego. Co do mnie, to zdaje mi się, że znak jest dobry, bo możliwie najprościej i najplastyczniej oznacza to, co ma oznaczać.

Ponieważ najbardziej życiową, a zapewne i najkrótszą drogą do wprowadzenia nowego znaku pisarskiego jest praktyka, więc, nie przesądzając powodzenia, postanowiłem go stosować. Redakcja „Myśli Narodowej" przychylnie projekt przyjęła i sama również od tej chwili wprowadza go w życie, o czem niniejszem czytelników zawiadamia. Nowy znak (-( )-) stosuje się tylko wewnątrz zdania lub okresu, w cydzysłowie przytoczonego, i oznacza, że słowa lub znaki w nawiasie podwójnym zawarte należą do pisarza, który cudze słowa przytacza. Siłą rzeczy nawias pojedyńczy, wewnątrz cudzych słów się znajdujący, pozostaje wyłączną własnością autora cytowanego. Sądzę, że nawet tak pospolite w polemikach „siki" i „taki" — (sic!) i (tak!) —, oraz wykrzykniki i pytajniki, które pisarze do przytaczanego okresu lub zdania cudzego w nawiasach wtrącają, należy stale ujmować w nawias podwójny, a więc: (- (sic!) -), (- (tak!) -), (- (!) -), (- (?) -) - i tym podobne.

Sprawa jest drobna, jak przecinek, że jednak i nad przecinkiem trzeba się było pogłowić i powszechną nań zgodę uzyskać, przeto i tu ośmielam się wezwać pisarzów naszych do stosowania nawiasu podwójnego. Patentu na ten wynalazek nie wykupię, pożytek z nowego nawiasu wspaniałomyślnie ofiarowuję wygodzie wszystkich piór i zecerni, a sobie pozostawiam tylko zaciekawienie: przyjmie się, czy nie—nowy znak pisarski? Albowiem nietyle wszelkie Akademje Umiejętności, ile Jaśnie Wielmożny Usus jest tu instancją najwyższą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

MARSZAŁEK PROFESORA ZNAMIEROWSKIEGO

W WYWIADZIE z redaktorem duńskiego pisma *„Politiken“* mówił generał pruski Schleicher, inicjator i reżyser ostatniego puczu militarystycznego w Berlinie (niemieckiego „przełomu“ majowego), co następuje:

„Żeby być przywódcą mas ludzkich, — nie można zadowalać się tanim sceptyzmem. Trzeba mieć pewną dozę cynizmu w sobie. To właśnie charakteryzuje osobistości pierwszoplanowe. Niech pan sobie przypomni Cezara i Fryderyka II. Byli to zapewne wielcy ludzie, ale ludzie, którzy mieli djabła w sobie *(le diable au corps)*“.

Taka jest koncepcja ludzi „napewne wielkich“, „pierwszoplanowych“, „przywódców mas ludowych“ u generała pruskiego, który będzie wnet restytuował... Hohenzollernów. Dla tej też przyczyny gen. Schleicher przypomina wielkość Fryderyka II, zapominając, że w niecałe 15 lat po jego śmierci stworzona przezeń potęga pruska leżała w gruzach...

Potomność dopiero osądzi i zdecyduje, jaki to procent satanizmu a zatem i cynizmu w ustosunkowaniu do bliźnich spółczesnych przeważał w *commanding-man*'ach naszej epoki i z jakiem udozowaniem antychrześcijańskiej pogardy, nienawiści, odrazy i mściwości odnosili się tak do swych przyjaciół, jak i do wrogów. Plugawce małostkowi i małoduszni przepadną na Sądzie Ostatecznym Historji bez apelacji i choćby niebotycznie wywindowani przez kliki, klaki i kloaki będą musieli „posiąść się niżej“, na szary koniec w cienie Walhalli, gdzie nawet nie dochodzą promienie słoneczne z wysokich okien. Prawdziwie natomiast, to jest i moralnie Wielcy będą wezwani, aby podeszli i posiedli się wyżej...

Marszałkowie francuscy z ostatniej a pierwszej wojny światowej mogą być już dzisiaj pewni swojej pierwszej historycznej rangi. Dziwnie dobrana, jasna plejada czystych, doskonałych, pełnych indywidualności. Apollińscy i Djonizejscy. Zaś ani jeden nie wywodzi się od Arymana. Mylił się, bywało, Plutarch w życiorysopisach to jednego to drugiego, ale wraz go korrygowano, oddając *suum cuique*, nie poniewierając zasług, nie „opluwając grobów“, nie bezczeszcząc nikczemnie żyjących, nie odzierając padalczo ze czci i sławy konkurentów. To też piękną i wzruszającą jest starość, *otium cum quietate* tych wodzów z „prawdziwego zdarzenia“ strategów, których genjusz uznała opinja całej ludzkości a nie tylko lokalne kliki, klaki i kloaki oraz przepłacani przez nie (horrendalnemi sumami) najmici i prostytuci zagranicznej reklamy i prasy. Biografje czy monografje tych militarystów czytać może z głęboką moralną satysfakcją najfanatyczniejszy pacyfista; niema w nich rozdziałów, którychby się trzeba wstydzić, lub które należałoby pośpiesznie wydrzeć; niema w nich ni śladu brudów, ni fetoru, ni plam krwawych, niema w nich nic do zatajenia, zatuszowania, zamazania, wycięcia. Foch, Joffre, Petain, Gallieni, Gouraud, Weygand, to postacie naprawdę do głębi jasne, promienne, skroś ludzkie, pańskie, jeżeli czem jeszcze obok splotu zalet i przymiotów rycerskich najbardziej ujmujące i imponujące, to może i przedewszystkiem... skromnością, rzymską skromnością. Nie potrzebują pieniaczyć się i wykłócać o swoje zasługi, gdyż świat już im uznał ich zwycięstwa, naród zaś własny im wdzięczny, a do respektu ni batem ni srebrnikami korrupcyjnymi nieprzypędzany.

W wysokiej galerji tych ludzi istotnie na miary Liwjasza czy Fidjasza stajemy też przed hermą siedemdziesięcioletniego, młodzieńczego *gentilhomme*, z którego wizerunkiem obszerniejszym mógł się był też pospieszyć ktoś inny, uprzedzając pana André Maurois. Typ to bowiem pisarza z gatunku mniej apetycznych, a już jerychońsko przerenomowanych. Skompromitował się świeżo dość fatalnie, gdyż na wykazany mu plagjat z Czechowa (*„Smert Czinownika“*) starał się wybronić krętacko, że na rękopisie było wyraźnie: *„a la manière de Czechow“* a że tylko w druku „zapomnieli“, że zresztą... już przecież Szekspir... no a... przedewszystkiem Moljer brali zawsze „to, co dobre, tam, gdzie je znaleźli“ i t.p. i t. d. Po Kesselu jest to już druga z rzędu kradzież i oszustwo literackie u światowo rozreklamowanych i gęsto tłumaczonych żydów piszących. Mniejsza z tem! Znacznie wiekszą nieufnością do tego paryskiego anglomana, zabawiającego się obecnie w rasowo charakterystycznem podrabianiu falsyfikatorskiem innych sław (*„Le Côte de Chelsea“, à la manière de Proust*), musi wywołać inne obciążenie A. Maurois, to jest to, że na portretowanie Lyautey'a pozwala się gorączkowo ta sama konjunkturalna *celebrité*, która dała już „portret“ tak antypatycznej a problematycznej wielkości jak d'Izraeli lord of Beaconsfield...

Zdawał u nas sprawę o tej nowej książce Maurois prof. uniwersytetu poznańskiego dr. Czesław Znamierowski w szkicu, trzeba przyznać, daleko - perspektywistycznym, wytrawnym i wytwornym, a jednak zamieszczonym w... „Gazecie Polskiej“, gdzie tyle ostatnio „niedyskrementaliów“ zamieszczają odnowa jacyś schyzofrenicy i katotonicy paranoidalni... Nie bez widocznie podświadomej, sarkastycznej tendencji właśnie w tem piśmie rozpanegiryzował się krakowsko-poznański sanacyjny eliterata nad marszałkiem Lyautey'em... Z wizerunkiem marszałka francuskiego uwypuklił i wysunął na front w światło to wszystko, czego zawsze brakowało generałom np. carskim, a często militarystom pruskim; *politesse d coeur*, szlif obyczajowy, piękno i etyka w życiu codziennem, kultura towarzyska, ogłada literacka. Nie tylko głęboko ukształcony wojownik, rutynowany (nie improwizowany) strateg, ale organizator i kolonizator na największą skalę (Marokko, Madagaskar), pionier cywilizacji. Wspina się, idzie w górę, wywyższony, „błyszcząca karjera“, buława marszałka..., ale jak prof. Znamirowski akcentuje:

„Nie, iżby obezwładniać i pomniejszać osobowość innych ludzi: szacunek dla indywidualności człowieka i narodu jest dla niego oczywistą konsekwencją jego najżywszych poczuć chrześcijańskich. Zasięg władzy jest dla niego zasięgiem jego swobodnej i w pełni odpowiedzialnej aktywności. Nie umie działać, nie mając pełni środków środków działania; by zdobyć zaś tę pełnię, ostrożnie, lecz z otwartością żołnierską, tworzy sobie sferę władzy absolutnej.“

Tworzy sobie „sferę władzy absolutnej“ ale nie żeby indywidualności i osobowości innych pomniejszać, deptać, poniewierać, lżyć, kopać plugawie. Zanadto ma w sobie „najżywszych poczuć chrześcijańskich“ ten „twórca państw“ i „zwycięzca ludów“ jak go definjuje prof. Znamierowski. I on także działa na ludzi swym urokiem, nie urokiem monstrualności i wilkołactwa, ale urokiem sublimowanej, szczytowej intelektualnej kultury:

„Na dalekich placówkach kolonjalnych czyta ze swymi oficerami poetów; w ojczyźnie, jako oficer huzarów żyje w gronie elity poetów, w przyjaźni z Vogüé, w styczności towarzyskiej z Henri de Regnier, z Maria de Heredia. Vigny'ego, poetę, który był żołnierzem, zna niemal na pamięć ten żołnierz, wielki poeta w czynie“.

Takim jest ten „twórca kolonij francuskich“, „człowiek czynu“, ktkry „umie skupić około siebie ludzi, którzy potrzebują sztuki“, choć też ludzi czynu, ale nie „czynowników“ oczywiście.

Takim to Marszałkiem francuskim entuzjazmuje się gorąco, a przykładnie nasz profesor uniwersytetu poznańskiego, stojący sobie krzepko na platformie znanej dokumentnie ideologji...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Ci, co zarzucają wolności druku nadużycia, nie pamiętają o tem, że nie tyle szkodzi nadużycia pisać, co nadużycia robić. Na pierwsze jest lekarstwem prawo, na drugie niema hamulca, prócz wolności druku.

Prawdę powiedzieć rządowi... nie tylko być powinno dozwolonem obywatelowi państwa, ale być powinno jego świętym obowiązkiem.

...Tak i w rządzie każdego narodu, jak Jean Paul powiada, trzeba wydawać biuletyny choroby, aby zapobieżeć biuletynom sekcji. Dobrze jest rozkładać (-(badać)-) polityczne ciało Rzymu i Aten, ale nierównie pożyteczniejsza i lepsza robić postrzeżenia nad żyjącym ustrojem narodu.

Prawdziwa miłość kraju i ojczyzny, prawdziwe przywiązanie do sprawy i rządu okazuje się zatem nie w przemilczaniu złego, ale... śmiałem i otwartem wynurzeniu publicznie zdania swego. Czego jeśli nie dopuszcza cenzura, grzeszy przeciw sprawie dobra ogólnego, a rząd pozbawia się tym środkiem najskuteczniejszego lekarstwa.

Pamiętne w tej mierze są słowa Napoleona, kiedy po abdykacji w Fontainebleau, przezierając pisemka i dzienniki, już z pod cesarskiej cenzury uwolnione, zawołał: „Gdyby mi przed trzema laty choć tylko setną część z tego wszystkiego byli powiedzieli, tron mój stałby dziś jeszcze!““

Karol Libelt: „O odwadze cywilnej“ (1843).

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.